Miesięcznie 1 zł
Prenumeratę przyjmuje każda poczta

1 egz. 30 groszy

Moje Powieści

ILUSTROWANY TYGODNIK DLA WSZYSTKICH

Rok V — Niedziela, dnia 10 października 1937 r. — Nr. 41



Gdy zapada zmierzch...

Deszcz sobie pada, pada,
Za oknami szary mrok.
Po kątach w pantoflach
Człapie nuda blada —
Mętnieje sennie wzrok.

Szara pani z zarękawka
Cicho sypie mak.
I wnet kończy się rozmowa
Tak? tak, tak... tak...

Wiatr za oknami jęczy,
O szyby deszczyk brzęczy,
Oczy biegną w dal...
Ludźmi w taki dzień owłada
Mrok, smutek, żal...

— — — — — — —

Tylko dziecina mała
Radośnie patrzy w krąg.
...Coś znów zaszeleściło —
Cieszy się dziwom bąk.

Hanka Kibitzówna.

MARIA REUTT

9)

Ktoś ty?

Powieść o burzach życia

— Niech pan jedzie — poparła go pani Ciemierzewska.

Usiadł na wysuniętej z tyłu ławeczce, ze zrezygnowaną miną. Nie uśmiechała mu się rola przyzwoitki dla zakochanej pary, ale nie mógł wszak odmówić pani Ciemierzewskiej.

DRUGA MIŁOŚĆ

Zaledwie zniknęli z oczu domowników, gdy drugą stroną nadjechał „Cytronką" pan Andrzej.

Przyjechał po Ludkę i dziewczynki, by je zabrać na podwieczorek.

Gdy dowiedział się z kim pojechała, Ludwika zmarszczył się niechętnie.

Nie powinnaś jej była puszczać — zrobił bratowej uwagę.

— Czyż teraz młode panny słuchają starszych?... — usprawiedliwiała się. — Zresztą pojechał z nimi pan Leon...

— To dobrze, ale dla panny Ludki będzie lepiej, gdy się mniej będzie afiszowała z hrabią...

— Przystojny, nadskakuje jej bardzo — tłumaczyła siostrę.

Nie mówił więcej na ten temat, ale widać było że jest niezadowolony.

— Wobec tego, że panny Ludki nie ma, musisz ty, Halko, jechać, bo nie mogę Brantowej zrobić zawodu. Napiekła ciastek z owocami, zrobiła lody...

— Mamuśku jedziemy i panna Danka niech jedzie z nami — wtrąciły się dziewczynki.

— Owszem, z przyjemnością się przejadę — zgodziła się pani Ciemierzewska i pani również — zwróciła się do Danki.

— Dziękuję owszem.

— No, więc proszę przebrać się i jedziemy.

* * *

— Chce pani obejrzeć dom? — szepnęła Myśka, korzystając z nieobecności stryja i matki, którzy poszli obejrzeć chlewnicę. — To chodźmy zanim podadzą podwieczorek.

Z ganku szło się do jadalni, długiego ciemnego pokoju o ciężkich, gdańskich meblach. Stamtąd do salonu, skąd wychodziło się przez oszklone drzwi na werandę.

— Pokażę pani fotografię narzeczonej stryjka, którą zabrali bolszewicy.

Prowadziła ją do gabinetu.

Z dużej owalnej ramki na biurku, spojrzały na nią szeroko otwarte oczy i buzia dziecinna młodej panny.

— Stryj ją bardzo kochał i rozpaczał po niej...

Zapatrzyła się w tę drobną twarzyczkę.

...Jesteś ofiarą tych potworów jak i ja, tylko że po moim zmarnowanym życiu nikt nie rozpaczał, prócz mnie, siostrzyczko moja w niedoli...



Pigwin z zoologu dumnie towarzyszy małej dziewczynce podczas „przygodnego spaceru.

Dwie łzy spłynęły jej po twarzy.

— Nie warto płakać po umarłych, trzeba żałować żywych — odezwał się za nią łagodnie Andrzej, który wszedł niespostrzeżenie.

— Ale trzeba żałować i tych, co musieli odejść z życia u progu szczęścia — odpowiedziała, nie patrząc na niego.

— Bardzo pani dobra — szepnął jakoby wzruszony. Otrząsnął się jednak i skierował się z nią ku drzwiom. — Chodźmy, bratowa już czeka.

Ciastka i lody były wyborne, spacer po parku bardzo miły i w wesołym nastroju wrócili do domu nad samym wieczorem, odwiezieni przez Andrzeja Ludki jeszcze nie było.

Andrzej został w Ciemierzewie na kolacji, widać było, że oczekuje przyjazdu panny, że jest zdenerwowany. Nasłuchiwał ciągle.

— ...Zapomiał już o tamtej biedaczce — pomyślała Danka z żalem. — Oto mężczyźni...

KUSICIEL I INTRYGA

Ludka była zachwycona przejażdżką i uprzejmością hrabiego. Pili czekoladę w cukierni. Ogromne pudło cukierków wraz z bukietem róż złożył na jej kolanach, gdy ruszali z powrotem, a przy tym był taki miły i uważający. Prosił, aby można jeszcze nieraz powtórzyć tę wycieczkę.

Toteż Ludka na uwagę siostry odpowiedziała wzruszeniem ramion:

— Nie myślę się krępować. Trudno, Andrzej nie zaznaczył jeszcze niczym, że ma zamiar starać się o mnie... Byłoby głupotą z mej strony odrzucić starania hrabiego. Rozmów się z Andrzejem — jeżeli myśli o mnie na serio, od razu odsunę się od hrabiego. Ale dopóki Andrzej się nie zdeklaruje — ani mi się śni wyrzekać się towarzystwa Bagrowcewa...

Zabrała czekoladki i kwiaty i wyszła do siebie, nucąc.

* * *

— Juliuszu, rozmów się z Andrzejem — prosiła pani Ciemierzewska męża, gdy się kładli do snu.

— Jakże mogę się z nim „rozmówić", cóż mu właściwie powiem? — Gwałtem go przecież nie przyciągnę do Ludki — wymawiał się.

Nikt ci nie każe go ciągnąć — obruszyła się pani Ciemierzewska.

— Dobrze... dobrze... zapytam się go, poradzę — łagodził mąż, wyczuwając łzy w głosie żony i bojąc się burzy domowej.

— Naprawdę... nie zapomnisz?...

— Nie... nie... — zapewniał.

* * *

Hrabia stał się codziennym gościem. Jednego dnia przyjeżdżał rano, to znów po południu woził ją po okolicy samochodem, to grał w tenisa lub siedząc na werandzie przysłuchiwał się razem ze wszystkimi rechotaniu żab.

Ludka była chyba w niebie.

Nareszcie znalazła wielbiciela, który starał się o nią na serio i wytrwale.

Wpływ zalotów hrabiego Bagrowcewa do Ludki sięgnął głębiej niżby można było przypuszczać. — Zdawało się, że zmienił nawet charakter dziewczyny. Ludka, w oczach niemal, rozkwitała jak kwiat róży i złagodniała. Nikt ze służby nie słyszał teraz od niej gniewnego słowa. Pieściła siostrzenice, dla Danki była uprzejma i miła.

Mimo to nastrój w Ciemierzewie nie był swobodny. Pani domu wzdychała, pan marszczył się, a biedny student sechł w oczach.

COŚ, CO DAJE DO MYŚLENIA

Hrabia starał się zaprzyjaźnić z panem Leonem, pozyskać jego względy.

Zabierał go do siebie, prowadził z nim długie rozmowy na spacerach i przy stole, prosił by na trzeciego jeździł z nimi samochodem i konno.

Pojechali znów do Częstochowy. Gdy wjeżdżali w ulicę Piotrowską, hrabia zwolnił tempa...

— Panie Leonie, mam do pana prośbę — zwrócił się do studenta. Czyby nie był pan tak uprzejmy odebrać dla mnie paczki w tym sklepie na rogu, podczas gdy my poczekamy na pana przed tą kawiarnią za hotelem? Powie pan tylko, że przyszedł pan po paczkę — to wystarczy...

— Owszem — zgodził się.

Szumnie nazwana sklepem ciemna norka, handel starym żelazem, niemile swoim wyglądem uderzyła Leona.

Siwy, brudny, z kaprawymi oczami Żyd, wysunął się zza kupy połamanych, zardzewiałych obręczy.

— Czego? — zaskrzeczał.
— Po paczkę przyszedłem.
Żyd kiwnął głową i ręką wezwał go, by postępował za nim. Otrząsając się, manewrując zręcznie, by nie rozedrzeć spodni o jakie żelazo, szedł do drugiej izby, prawie ciemnej, również zawalonej częściowo żelazem.
Żyd zdjął ze stołu drewnianą, podłużną paczkę i wręczył mu ją.
— Proszę, niech pan wyjdzie tędy — wskazał otwierając drzwi wychodzą na boczną uliczkę.
Paczka, choć mała, była dosyć ciężka i student spocił się, zanim ją doniósł do stojącego przed kawiarnią samochodu. Umieścił ją pod siedzeniem i wszedł do cukierni, gdzie rozbawiona Ludka zajadała lody.
Hrabia uprzejmie podsunął mu krzesło i kazał podać mrożoną kawę. Sala była pełna. Przeważały panie, należące do sfery nowobogackich obwieszone tanimi ale błyskotliwymi klejnotami. Hrabia od czasu do czasu zamieniał ukłony. Ale widać spieszyło mu się, bo spoglądał raz po raz to na zegarek, to w okno.
W drodze usprawiedliwiał się:
— Ten osioł, Hryć, zamiast kazać posłańcowi przywieźć tę paczkę — przecież co dzień jeździ po pocztę! — prosił, żebym mu ją zabrał ze sobą. Nawet nie wiem co tam jest...

ZNOWU POKRYWKA

Z polecenia doktora pan Leon chodził codziennie o siódmej rano do lasu na spacer.
Wracając na śniadanie, spotkał hrabiego jadącego konno.
— Jak się cieszę, że pana spotkałem! — Zawołał, zatrzymując konia.
Student natomiast wcale się nie cieszył, ani z tego spotkania, ani ze znajomości z hrabią. Hrabia wszakże zniewalał go wprost swoją serdecznością.
— Pójdziemy do mnie na śniadanie — zaproponował zeskakując z siodła.
— Pokażę panu dubeltówkę, jaką nabyłem w tych dniach. Angielski wyrób, dwunastka.
Próbował się wymówić, ale hrabia nie chciał słuchać.
— Nie zauważą pańskiej nieobecności — chodźmy.
Śniadanie jedli we dwóch.
— Mój sekretarz wyjechał na dwa dni do Krakowa czy Lwowa — nie wiem nawet. Prosił o urlop dla spraw rodzinnych. Nie pytałem go o te sprawy, bo przyznam się, że nie obchodzi mnie wcale, czy ktoś memu podwładnemu się żeni czy umiera — to już jego rzecz.
Zaprowadził następnie studenta do gabinetu, gdzie rozpoczął pokazywać mu swoje „zbiory" — pikantnych fotografii.
Między innymi pokazał mu fotografię młodej osoby ubranej bardzo niedostatecznie.

— Zaprzyjaźniłem się z nią w zimie — poznałem u starego generała Antromowa, przyjaciela ojca. — Szykowna, a miła, co? No... i pan rozumie. Ale ona ma męża zazdrośnika. Chciałem jej posłać choć pudło czekoladek, tylko że mąż... Jest teraz z nią na urlopie. — Czyby pan nie pozwolił, abym wysłał niby w pańskim imieniu. Ona zrozumie. Muszą być zachowane pozory, pan zrozumie ...dama z towarzystwa, więc gdyby pan pozwolił...
— Owszem — zgodził się uprzejmie student — elegancka, ładna pani... — a w duszy śmiał się złośliwie: ...Oj Ludko, Ludko, ot — co warta hrabiowska miłość!...

CZTERY SERCA

Urlob Ludki kończył się, a hrabia nie posunął się ani kroku dalej w swoich konkurach. Patrzył w oczy, całował po rękach, ofiarowywał czekoladki, jeździł konno, woził samochodem, mówił o jej urodzie, u-roku... Nie padło wszakże ani to słowo, co zdawało się drżeć mu na ustach, a na które ona tak czekała, na to odwieczne, a zawsze nowe — „kocham" i wymarzone w ciszy nocnej, w świeżości poranku, w upale południa — „bądź moją".
Posmutniała i ciemne cienie okoliły jej niebieskie oczy, a różowe usta pobladły. Znowu zawód — znowu tylko konkury. Czyż rzeczywiście poważna partia nie dla niej?
Posmutniała i pani Ciemierzewska. Kochała tę przyrodnią siostrę, jak własne dziecko. Chciałaby ją widzieć szczęśliwą i w dostatkach. Bardzo była niechętna z początku hrabiemu, że to Moskal i obcy przybysz — była wprost przeciwna zalotom i konkurom. Widząc jednak zadowolenie siostry, pogodziła się z myślą o małżeństwie, które może przecież Bagrowcewa przerobi na „dobrego obywatela Polski — Ludce zaś da męża, jakiego chciała i zadowolenie.

* * *

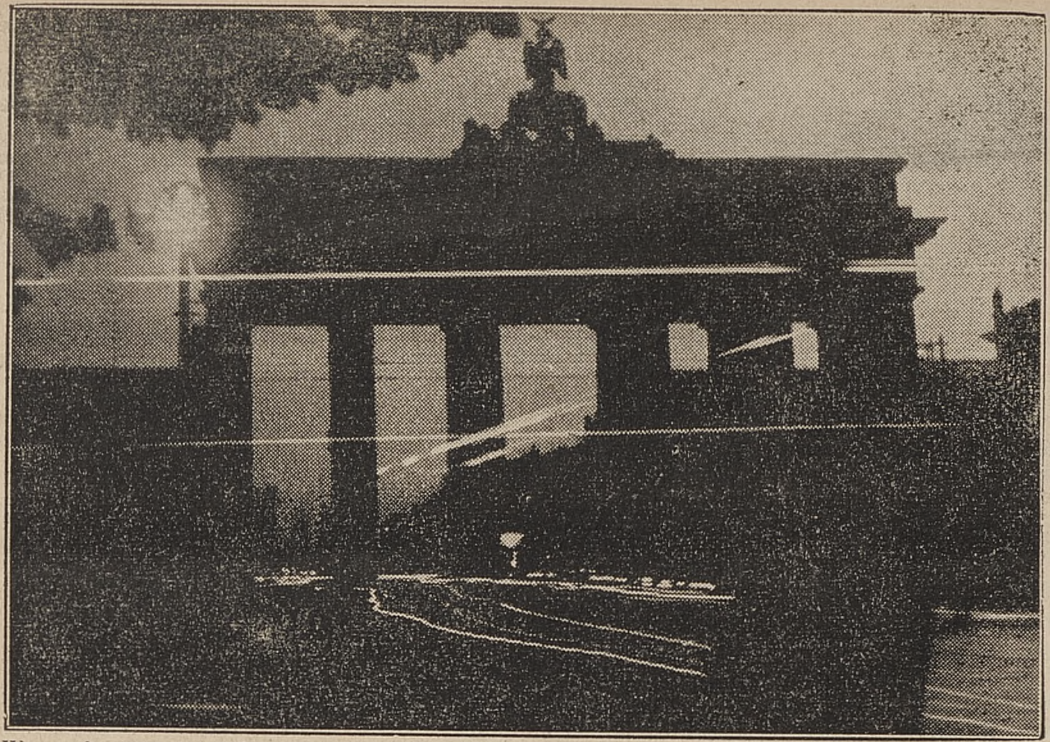
Dwa dni hrabia nie był, ani nie pisał. Ludka chodziła jak błędna. Odmówiła gry w tenisa tak, iż Danka musiała ją zastąpić ku uciesze dziewczynek.
— Stryjku, prawda, że pani gra już dobrze?...
— Ujdzie — drażnił się z nimi wesół, w dobrym humorze.
...Czego on dziś taki rad? — myślała Danka. — Czy dlatego, że Ludka wyjeżdża, czy też, że usuwa się z pod wpływu hrabiego? Czemu te dziewczęta takie głupie? — rozmyślała, zapomniając o tym, że sama jest bardzo młodym dziewczęciem. — Ot, taka Ludka! Podobała się Andrzejowi, a wybrała Moskala, który może się nią tylko bawił. Gdybym to ja była na jej miejscu... — Gdybym miała możność wyboru... Och, jak serce boli...

* * *

Gdy zaszła wieczorem do dziewczynek, by im powiedzieć dobranoc jak zwykle, w łóżeczkach już, Myśka szepnęła jej do ucha:
— Prawda, jaki ten hrabia niedobry, że nie przyjeżdża i ciotka Ludka płacze przez niego...
— Prawda Myśko — potwierdziła, głaszcząc ją po główce.
— Dobrze cioci tak — odezwała się Józia — niech z Moskalami się nie zadaje? Stryj Andrzej gniewał się o to i na ciocię i na mamusię...
Józiu... Józiu... jak można — strofowała ją.
Bystrość Józi ją przerażała. Niby dziecinna, a zauważyła wszystko i trafnie oceniła.
Józia zarzuciła jej ręce na szyję i przytuliła się do niej serdecznie.
— Zła jestem na ciocię za stryjka.
Hrabia nie zjawił się nawet w wilię odjazdu Ludki. Przyjechał tylko Andrzej.
Ludka zmogła w sobie zawód i starała się być wesołą. Sztuczna to była wesołość i smutek czaił się na dnie jej wzroku, ale grała w tenisa, jeździła wieczorem łódką z Leonem i Andrzejem.
Gdy ten odjeżdżał i przycisnął jej rękę do ust współczująco, zakryła oczy powiekami, by nie dojrzał jej łez.

* * *

Tej nocy cztery osoby nie mogły długo zasnąć. W szerokim, małżeńskim łożu wzdychała pani Ciemierzewska.
Płakała w gościnnym pokoju Ludka, kręciła się na łóżku Danka.
...Gdybym ja miała prawo wyboru... — szeptała w ciszy nocnej.



W czasie tegorocznych manewrów niemieckich odbył się nocny nalot „nieprzyjacielskich" samolotów na stolicę, w której wskutek tego pogaszono wszelkie światła. Na zdjęciu słynna „Brama Branderburska", tonąca w nocnych ciemnościach.

W gabinecie zaś w Obidówce ubrany chodził tam i z powrotem pan Andrzej, trąc nerwowo brodę i czoło. Chwilami zatrzymywał się przed biurkiem, brał do ręki fotografię zmarłej narzeczonej, wpatrywał się w nią, stawał na miejscu i znów chodził.

* *
*

Ludka wyjeżdżała rannym pociągiem. Odwiozły ją dziewczynki z Danką. Rozpłakała się, żegnając się z siostrą i szwagrem.

Pojechały na stację na pół godziny przed odejściem pociągu. Zaledwie zdążyły zejść z bryczki, gdy zawarczał motor podjeżdżającego auta. Ludka kurczowo schwyciła Dankę za rękę.

— On... dobry... nie zapomniał — szeptała bezładnie.

Już był przy nich, tulił jej obie ręce do ust.

— Mój sekretarz jedzie do Warszawy, pozwoli pani, że się nią zaopiekuje...

Wsadził ją do wagonu, położył na kolanach bombonierkę i bukiet róż, ucałował jeszcze raz jej ręce i zeskoczył ze stopni wagonu w chwili ruszania pociągu.

— Do widzenia, w Warszawie...

A zwracając się do sekretarza, dodał:

— Panie Stanisławie proszę zająć się panią...

SIEĆ SIĘ PRZĘDZIE...

— Odwiozę panie moim samochodem — zaproponował, gdy pociąg odjechał.

— Nie, dziękujemy, mamy konie — odpowiedziała stanowczo, mimo błagalnych spojrzeń dziewczynek.

— Żałuję bardzo — już na siedzeniu uchylił czapki na pożegnanie puszczając motor w ruch.

Oczy jego przelotnie dotknęły Dankę mocnym spojrzeniem, jakby jej rzucając wyzwanie.

Wzdrygnęła się przed tym wzrokiem.

...Jakie dziwne oczy mają ci Moskale — pomyślała z irytacją.

* *

Pan Staniszewski, choć na pierwsze spojrzenie miał wygląd niesympatyczny, okazał się jednak bardzo miłym towarzyszem. Przyjechał niedawno z Londynu, gdzie spędził dłuższy czas, miał dużo do opowiadania, toteż Ludka nie spostrzegła się, kiedy pociąg wjechał na dworzec.

Pomógł jej włożyć okrycie, chwycił z siatki jej walizki i wyszedł z wagonu, zostawiając swoją żółtą, skórzaną torbę podróżną. Chcąc nie chcąc, chwyciła ją i wyszła za nim. Nieduża z wyglądu, elegancka, ze świńskiej skóry, była dosyć ciężka i Ludka wolałaby zamienić się na mniejszą, swoją, lecz nie mogła go dogonić. Pędził naprzód, jakby chodziło o zdążenie na inny pociąg.

— Dorożka. — Wsadził ją do auta i usiadł obok. Nie zauważyła, kto wziął z jej ręki torbę — nie było jej w aucie...

Zaniepokoiła się.

— Pani walizka?...

Uspokoił ją.

— Zabrał ją mój kolega, zawiezie tramwajem do siebie, bo na życzenie hrabiego mam panią odwieźć do domu. Byłby niezadowolony, gdybym nie spełnił jego rozkazu, więc muszę towarzyszyć pani do samego domu, inaczej naraziłbym się na wymówki.

Miłą jej była troskliwość hrabiego Troszczy się, a więc kocha — szeptało jej w sercu radośnie.

Odprowadził ją do samych drzwi, poczekał, aż weszła i dopiero wtedy zeszedł ze schodów, wsiadł do czekającej dorożki i kazał się zawieźć do hotelu Niemieckiego.

POWRÓT

Niebardzo chciało się Ludce wracać do biura po wywczasach letnich i idąc nazajutrz do zajęcia, wciąż myślała z żalem o tym, że hrabia jej się nie oświadczył. Dziwiło ją to trochę. Nie należała przecież do panien, które mężczyźni mogą bałamucić bezkarnie, by rzucić potem bez żadnych zobowiązań.

To jego pożegnanie mówiło tyle, tyle dawało do zrozumienia — więc po co zwlekał, dlaczego milczał?...

Z tymi wątpliwościami w duszy z żalem w sercu weszła na schody.

W ubieralni przypudrowała twarz, podmalowała usta i odświeżona weszła do biura na salę ogólną.

Przywitali ją koledzy i koleżanki życzliwie i serdecznie. Lubili tę wesołą, żywą, choć trochę lekkomyślną pannę, za jej niefrasobliwość, dobry humor i uczynność. Chętnie zawsze szła z pomocą każdemu, każdego gotowa była wyręczyć lub zastąpić, — i gdy wyjeżdżała, nieraz im jej brakowało.

Szef — poważny, siwy, naogół trochę ostry w obejściu i wymagający jegomość, Ludce na powitanie powiedział tylko dużo komplementów, wyraził radość z powodu jej punktualności.

Siadając przy maszynie, mówiła sobie w duszy, tłumiąc przemocą ironię, co gwałtem wydzierała się grymasem na jej ładnie wykrojone wargi:

...a jednak — nie wróciłabym była tu do was, gdyby on szepnął mi do ucha to jedno upragnione słówko...

Nie domyślali się koledzy i koleżanki, że uśmiechem uprzejmym pokrywała bolesne drżenie warg, że siłą powstrzymywała łzy, cisnące się do oczu.

— Ślicznie pani wygląda, panno Ludko — szepnął jej ten i ów, przynosząc papiery do przepisywania.

— Szef podczas pani nieobecności był taki marudny — wywnętrzała się jej zastępczyni — omało mnie nie wylał z biura, gdy nie mogłam mu natychmiast odnaleźć jakiegoś zapisku.

Ludka uśmiechnęła się przez łzy na te dowody życzliwości, a serce jej stukało jedno i to samo:

...Nie powiedział nic, nie dał nadziei — tylko obiecankę, że „zobaczymy się"...

TRAGEDIA ANDRZEJA

Pani Ciemierzewskiej brakowało na razie Ludki bardzo. W swej tęsknocie za nią szukała towarzystwa Danki.

— Niemądra z niej dziewczyna — zwierzała się. — Szczęście jej samo szło do ręki. — Andrzej byłby się z nią ożenił, żeby nie afiszowanie się jej z tym Moskalem... Samochcąc zepsuła sobie karierę, bo to człowiek kryształowego charakteru, a przytem zamożny i przyszłość ma przed sobą... Na ten temat pani Ciemierzewska rozgadała się w swym rozżaleniu na siostrę na dobre.

(Ciąg dalszy w następnym numerze)

WOJCIECH HOLM

51)

Nienawiść a miłość

czyli tajemnica zamku Felseg

— Kochana mateczko! Wiem, że mama jest osobą rozsądną i dlatego nie obrażam mamy nawet pytaniem, czy mama się jeszcze nie zdecydowała przystąpić do naszego przedsiębiorstwa. Przypuszczam, że mama już poczyniła kroki po temu?

— Naturalnie! — zapewniła pani Snob. Wyjęła portfel i z triumfującą miną wyliczyła jego zawartość w banknotach.

Była to duża suma, ale nie wszystko, co pan Snob zostawił.

Tulliwer zmiarkował to od razu.

— Nie mogłaby mama uzupełnić tej sumy do 50 tysięcy? — spytał słodziutko — ale ja pytam o to tylko w maminym interesie.

— Na razie nie mogłam — tłumaczyła się pani Snob — ale te dwa tysiące, które są na hipotece, wymieniłam już.

— A kiedy mama może je dostać? — pytał z żywym zainteresowaniem Tulliwer.

— Za dwa lub trzy tygodnie — odpowiedziała pani Snob.

— Hm! — mruknął Waker, który przysłuchiwał się całej tej rozmowie — właściwie to nie możemy tak długo czekać.

Spojrzał znacząco na szwagra.

— Ty myślisz o naszej jeździe do kopalń? — spytał Tulliwer — rzeczywiście, że to trochę długo. W Charolais czekają na mnie, czy przystępuję do przedsiębiorstwa. Powinienem jutro wyjechać.

— Jutro już? — żaliła się Inez — myśmy dopiero wróciły...

— Tak, moje dziecko! — zwrócił się do niej mąż — obowiązek przede wszystkim.

— Nie pojmuję ciebie, Wilfredzie — zwrócił się potem do szwagra — po co zwlekać, kiedy każda chwila zwłoki może mnie przyprawić o nieobliczalne straty. Nie! Ja stanowczo jutro wyjeżdżam.

— Więc dobrze — zgodził się Waker — jedziemy jutro.

Na tym sprawę zakończono.

Pan Tulliwer obliczył starannie pieniądze teściowej i schował je. Wyjął zaś z kieszeni podpisany weksel, wypełnił tylko w odpowiedniej rubryce kwotę i weksel oddał pani Snob.

Czule pożegnali się nazajutrz James i Wilfred z żonami i teściową. Przyrzekli wrócić za dwa do trzech tygodni i przepraszali z góry, że może nie stanie im czasu na listy, bo będą prawdopodobnie bardzo zajęci.

Inez i Fidez chciały ich wyprowadzić na dworzec, ale oni stanowczo nie pozwolili na to.

— Mama musi wypocząć dziś po podróży, a nie można mamy samej zostawić w domu.

W godzinę później, kiedy Inez i Fidez jeszcze się nie otrząsły ze smutku pożegnalnego, w wagonie pierwszej klasy pociągu idącego na północ (to jest wprost przeciwny kierunek, niż do Charolais) jechali dwaj panowie dziwnie podobni do Tulliwera i Wakera. W towarzystwie ich były dwie damy o podejrzanym wyglądzie; oni nazywali je Eifi i Kora; śmiali się z nimi, gawędzili i żartowali, palili papierosy i popijali z flaszek o obiecujących etykietach.

Czyż to być może, że to byli ci wzorowi małżonkowie?



Schroeder—Stranz, dowódca niemieckiej wyprawy polarnej, która zaginęła w 1912 r. — ze swym ulubionym psem.

ROZDZIAŁ CXCIX.

U Marii Śnieżnej

Teobald przekonał się sam na sobie o prawdziwości przysłowia, że kto pod kim dołki kopie, sam w nie wpada.

Stękając nad złamaną nogą, męczył się jeszcze bardziej przypuszczeniem, że markiz jest uratowany i że przeniknie jego mordercze zamiary.

Gdyby tak znaleziono zwłoki markiza! To było najgorętszym życzeniem zacnego patrona i z każdą godziną naznaczał większą nagrodę za odnalezienie zwłok. Mężczyźni z osady Marii Śnieżnej, znęceni wysoką nagrodą, przeszukali całą okolicę wszerz i wzdłuż, ale napróżno.

Oświadczyli krótko, że znajdą go, gdy śnieg na wiosnę odtaje i źli byli, że tyle ich trudu poszło na marne.

Teobald musiał im zapłacić za ich bądź co bądź ciężką choć bezowocną pracę, bo byłby na siebie oburzył całą osadę.

Fakt, że w zimie u Gedalego był ktoś obcy, o tym rozeszła się nawet po wsiach sąsiednich.

Opowiadano, że ten wesoły pan, co to cztery lata temu bawił tu przez całe lato i malował, leży teraz u Gedalego z połamanymi nogami.

Nareszcie dostała się wieść o tym i do małej, zapadłej chatki oddalonej o godzinę drogi od osady Marii Śnieżnej.

W chatce tej mieszkał staruszek siwy, jak gołąb i dziewczyna, może 20-sto letnia o wejrzeniu jakimś nieprzytomnym.

Anna Maria, tak się nazywała ta dziewczyna, zrazu ledwie zrozumiała, co sąsiadka opowiadała i zamyślona, jakby za światem myślami bawiąca, strugała dalej drewnianą łyżeczkę.

Nagle jednak, gdy usłyszała imię Teobalda, zbladła, a w następnej chwili zarumieniła się lekko. Podskoczyła i chwyciwszy sąsiadkę za ramiona, zawołała:

— Co powiadacie!? Teobald Hai wrócił?

— Ależ nie łam mi kości! — jęknęła babka.

— Ależ gadaj! — prosiła zdyszana jakaś Anna Maria — powiedz, on jest?

— Jest, jest! — odpowiedziała babunia — leży u Gedalego.

Ledwie kobieta to wypowiedziała, rzuciła się Anna Maria ku drzwiom i nie zarzuciwszy nawet na ramiona chustki, mimo, że mróz był wielki, z szybkością strzały pobiegła do wsi.

— Teraz dowiedzieliśmy się, kto jest ojcem jej chłopaczka — zaczęła szeroko kobiecina — popatrzcie no się! A nie chciała mówić! Co wyście ją natłukli tu, nabili, ona nic, ani słówka nie pisnęła, aż teraz samo wylazło. Ja to sobie myślała, jak on odjechał, a ona tak zakamieniała — ja wam mówiła, a wyście nie chcieli słuchać.

Stary Bartek wysłuchał cierpliwie, aż ona skończyła, potem mruknął grubym głosem:

— Dobrze, żeście już skończyli, bo nie dajecie przyjść człowiekowi do słowa. Nibyście taka mądra i słyszycie, jak trawa rośnie, ale ja nie wierzę. Ona z malarzem mówiła ledwie trzy słowa; zresztą ten pan najwięcej się zajmował tą Lenką z karczmy. Anny Marii wcale nie wyróżniał.

— Tak? — zawołała baba oburzona — Ładnieście się dali oszukać! Naturalnie, że się nie zajmował nią przy ludziach. Ale za to, jak nikt nie widział! Przecie to jasne, jak słońce! Czegożby tak zaraz wyleciała z domu, jak posłyszała, że on przyjechał!?

— A bo ona teraz całkiem straciła rozum od czasu jak jej dziecko umarło, a ją oskarżono o morderstwo! — Mruknął w odpowiedzi stary.

— No, ona była przecie winna śmierci dziecka — rzekła baba — bo udusiła je we śnie. Naturalnie, że nie umyślnie — dodała prędko, gdy Bartek rzucił jej groźne spojrzenie, — ale co prawda, to prawda.

— Mogli byli wiedzieć, że ona sama jest jak zwariowana z rozpaczy, nie potrzebowali jej jeszcze taskać do turmy — oburzał się stary!

— No, nie macie czego lamentować jeszcze teraz z powodu tych głupich czterech tygodni. Mądrzej by było, żebyście teraz poszli do Gedelego i powiedzieli temu panu, jakiego nieszczęścia dziewczynie narobił i żeby jej teraz za to dał jakie parę set zapomogi.

— Nic jej to nie pomoże! odparł gorzko stary — pieniądz marny nie wróci jej ani czci, ani rozumu, ani zdrowia, ani piękności, ani wesołości! A kto mi zresztą za to ręczy, że ten gagatek był jej kochankiem. On się nie przyzna, będzie się wypierał. Trzeba mi jeszcze do całego mego wstydu narazić się na pośmiewisko ludzkie? Nigdy!

— Dla rodzonej wnuczki nie chcecie zrobić tego, coście powinni! namawiała stara.

— Ot, gadasz, jak baba — zlekceważył ją stary — wy baby myślicie, że marnych parę groszy może człowiekowi dać szczęście!

— A ty nigdy nie posłuchasz w czas dobrej rady — złościła się baba.

— Nie prosiłem cię o radę — uciął sucho Bartek.

— To ci się nie będę narzucać — odpowiedziała tłumiąc złość — już mnie tu na swoim progu nie zobaczysz — to ci przysięgam na moje dziewictwo, na moją wolność i na moje czyste imię!



Jesienne manewry armii francuskiej zakończyły się wielką defiladą wojsk, biorących udział w ćwiczeniach. Defiladę przyjęli od lewej: gen. Hering, francuski minister wojny, Daladier, angielski minister wojny Hore — Belisha, angielski marszałek Deverell i szef sztabu armii francuskiej gen. Gamelin.

To rzekłszy, ze łzami wściekłości wyszła z chaty.

Bartek zabrał się na nowo do swej roboty i od czasu do czasu mruczał coś niewyraźnie.

— A jeżeli ona ma rację? — myślał — te baby w rzeczach miłości mają ostry wzrok. Biłem ją, głodem karałem, żeby powiedziała — ona nic. Ażem się zapytał, czy to Józef od organisty, ten, co poszedł w świat, to ona kiwnęła głową, że tak. Ale potem odwołała to, że tylko tak powiedziała, żeby mieć spokój, ale mnie się jednak zdaje, że to on.

Tymczasem Anna Maria jak spłoszona sarna biegła do wsi.

Włosy jej się rozpuściły i powiewały za nią na wietrze wskutek szybkiego biegu.

Od czasu do czasu przystawała i wznosiła oczy i ręce do nieba.

Dziękowała Bogu, że jej Teobald wrócił. Modliła się o to przez trzy lata i Bóg wysłuchał jej prośby.

Wrócił! Wrócił ten jedyny między ludźmi, który jej nie bił, nie szturkał, tylko słodkimi wyrazami głaskał ją po sercu, mówił do niej:

— Aniele mój złoty!

W biednej obłąkanej głowie myśli poczęły się plątać.

Anna Maria zanuciła jakąś piosenkę, ale w połowie urwała na przeciągłym fałszywym tonie i biegła dalej.

Po drodze, jak w kotle diabelskim, mieszały jej się w głowie różne myśli.

Dotrzymała słowa — nikomu nie powiedziała, że on był jej kochankiem, nie zdradziła go. Teraz on dotrzyma słowa, ożeni się z nią, będzie ją pocieszał, lubił, pieścił — ona mu się będzie skarżyć, że dziadek ją bił, że ją zamknęli do tego wysokiego kamiennego domu, że jej teraz nie wolno wianka nosić, bo jej by go zdarli z głowy — ale on na to nie pozwoli...

Była już między domami osady Marii Śnieżnej, ale nie wiedziała, gdzie jest.

Czuła tylko, że jest już blisko niego.

— Zaraz będę u mego Teobalda — myślała sobie z radością, nie wiedząc, że nie myśli po cichu, ale że słowa te bez jej wiedzy donośnym głosem wychodzą z jej ust.

Przebiegła wieś, otworzyła drzwi szynkowni, przeszła przez ciemną sień, otworzyła drzwi do izby.

Stanęła na progu oświetlona blaskiem lampy.

Na sukni jej leżała gruba warstwa śniegu. Włosy jej rozpuszczone, opadały na barki i ramiona, a oczy błyszczały jak obłąkane.

— Wszelki duch Pana Boga chwali — zawołała Gedalowa — co się stało?

— Gdzie on jest ?— zawołała na to Anna Maria — ja chcę do niego!

— Do kogo?

— Co to ciebie obchodzi — odpowiedziała obłąkana — milczałam dotychczas, to i teraz nie powiem. To moja tajemnica! Od jej dochowania zależy moje szczęście. Gdzie on jest?

— Skoro nie wiem, o kogo się pytasz, nie mogę ci powiedzieć, gdzie on jest, odrzekła Gedalowa na pół rozśmieszona, na pół rozgniewana.

— Mamo, przecie ona nie ma pamięci — wtrąciła się Lena z litością — masz może tego pana z miasta na myśli, zapytała uprzejmie Anny.

Obłąkana skwapliwie potwierdziła ruchem głowy.

— On leży w naszej izbie.

Ledwie to Lena wyrzekła, gdy Anna już minęła ją i matkę i pobiegła w głąb domu.

W nędznej izbie, na dużym, niezgrabnym łóżku leżał Hai dręczony bólem nogi i wyrzutami sumienia.

Nie poznał jej, ale ona uklękła obok łóżka i okrywała jego ręce pocałunkami.

— Mój Teobaldzie! — płakała — jakże tęskniłam za tobą! A tyś nie widział tego chłopaczka! Co za cudne było dziecko, powiadam ci! Ludzie są źli, powiedzieli, że ja go zabiłam! Ale to nieprawda! On był całym moim szczęściem, ja go nie zamordowałam!

— Ktoś ty? spytał Teobald tknięty niemiłym przeczuciem.

— Nie poznajesz Anny Marii? — zapytała przerażona — popatrz, to ja! tyle razy te usta moje całowałeś! najdroższy ucałuj mnie, to ja!

Pochyliła się nad nim i mokra jej twarz dotknęła jego policzka.

Straszliwa zjawa stanęła przed oczyma Teobalda.

Zapomniał o niej już dawno i w Paryżu używając życiowych rozkoszy nie pamiętał, nie wiedział o tym, że ta, którą pozbawił dziewictwa, wychyliła do dna czarę goryczy.

Teraz ona staje mu przed oczyma jako uosobienie jego winy.

Lecz on obawiał się tylko ,że będzie jej musiał dać odszkodowanie za cierpienia.

Postanowił zatem wyprzeć się wszystkiego.

— Czego chcesz? spytał marszcząc brwi — nie znam ciebie.

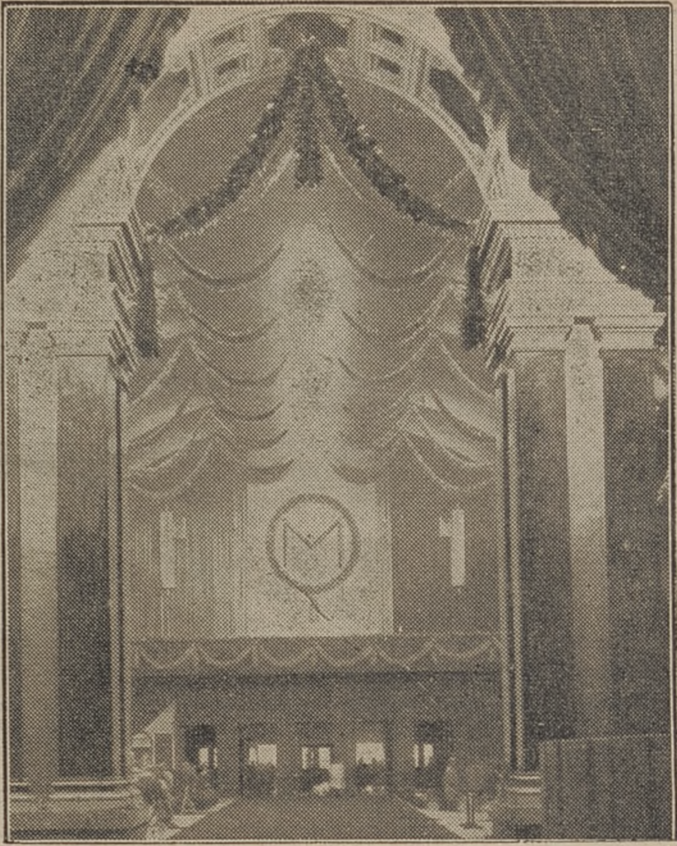
— Nie znasz? pytała — a bo tu ciemno. Patrz to ja. Zmieniłam się! Wesołość moja poszła het. Miałam iść ze śpiewakami do Wiednia, ale coś mi się stało dziwnego, że żadnej zwrotki nie mogę dokończyć. A płakałam tak, że mi łzy całkiem rumieńce z twarzy zmyły. Jak coś zaczynam śpiewać to idzie dobrze, aż w środku przychodzi mi do głowy coś innego i muszę znowu śpiewać to drugie. Powiedzieli że mam dobry głos, ale w głowie mi niedobrze, to mnie nie mogą zabrać. A ja wolałam zostać tu przy grobie mego syna. Bałam się nazwać go Teobald, żeby ludzie czegoś nie zwąchali. Nazwałam go Leopold. To podobnie brzmi. Musisz pójść ze mną na jego grób!

— Biedna dziewczyno! — rzekł Teobald — widzę, że ci rozum pomieszało i bierzesz mnie za kogoś innego. Bóg wie, gdzie twój kochanek. Porzucił cię! Biedna ty! Widzę, że nie masz się w co ubrać. Wiesz co, podaruję ci kilka guldenów na suknię, ale musisz nabrać rozsądku i nie przychodzić tu mnie dręczyć grzechami kogo innego!

— Ach, Teobald! — prosiła go głosem pełnym wzruszenia — nie mów tak! nikt nas teraz nie słyszy, to możesz być dla mnie taki, jak dawniej! Ja cię nie zdradziłam. Dziadek mnie bił, a ja nic nie mówiłam. Dziadek groził, że kości połamie memu kochankowi, a ja cię nie zdradziłam.

— Bo nie było co zdradzić! — zawołał Teobald — patrząc na nią złym wzrokiem — nie rozumiem ciebie, nie znam ciebie i powiadam ci, że ty mnie masz za kogo innego.





Na zdjęciu z lewej strony ulica Unter den Linden w Berlinie na której ustawiono rzęsiście oświetlone wieczorem pilony ze swastyką, orła mi hitlerowskimi oraz faszystowskimi rózgami liktorskimi. Na prawo pięknie udekorowana sala recepcyjna na dworcu w Monachium.

— Czego grasz ze mną taką okrutną komedię? — mówiła dalej Anna błagalnym głosem — przecie księżyc i gwiazdy patrzyły, gdyś mnie całował tak namiętnie. Księżyc, jak mnie widział samą, mówił mi: Wiem Anno Mario, kto jest twój najdroższy — wiem, ale ja cię nie zdradzę.

— Wariatka — mruknął Teobald — jakby się tu jej pozbyć!? Tego mi jeszcze trzeba było, żeby ta dziewka te dawne dzieje trąbiła teraz na cztery wiatry. Żebym psiakrew był pamiętał o tym, że ona tu jest i że to... nie byłbym tu przyłaził. Szczęście całe, że ona ma pomieszanie — będę się mógł tym łatwiej wyłgać z tego.

— Przecie ja nic nie żądam od ciebie — błagała dziewczyna — chcę tylko, żebyś mnie wziął do siebie, jako służącą i czasem gdy ci wiernie będę służyć, o cichej północy, żebyś mnie przytulił do siebie, całował, popieścił!

Teobald zaklął dziko.

— Słuchaj przecie głupia dziewko! — zawołał — czego chcesz ode mnie!? Powiadam ci, że cię nigdy nie widziałem w życiu, a jeżelim cię kiedy widział, tom dawno zapomniał. Mam w domu żonę tak piękną, że ty nie wartaś jej buty czyścić. Czego chcesz? Odczep się ode mnie. Co ja temu winien, żeś się pierwszemu lepszemu rzuciła na szyję.

— Ty masz w domu żonę? — zapytała dziewczyna bezdźwięcznym głosem i spojrzała na niego przygasłymi oczyma. Podniosła potem obie ręce do góry i zawołała dzikim głosem:

— Matko Boska! Panno Święta! Ty widzisz miecz, który przeszywa mi serce! On jest krzywoprzysięzcą; On złamał tysiączne przysięgi, które mi składał! Czekałam na niego! A teraz on przychodzi, wraca, by mi serce przeszywać! Matko Boska! zlituj się nade mną nieszczęśliwą!

Śpiewając smutną jakąś piosenkę o tym, że straciła kochanka i szuka grobu, wybiegła w śnieżną zimową noc księżycową.

Pełnia świeciła na niebie.

Anna Maria wyciągnęła rękę ku niebu i zawołała:

— Ciebie księżycu biorę za świadka! — Tyś był przy tym!

Pobiegła dalej, ale nie do domu.

Biegła i na wysokiej skale przystanęła nad przepaścią.

— Nie przeklinam go! Zanadto go kocham! Przyjmij mnie Matko Boska

Zakryła twarz rękoma i rzuciła się w przepaść.

Z otchłani ozwał się straszliwy jęk, potem cicha skarga, która jednak wnet umilkła.

Na dnie przepaści leżała z połamanymi członkami Anna Maria, a krew jej barwiła śnieg dokoła.

Lena słyszała niektóre słowa z rozmowy dziewczyny z Teobaldem i widziała ją jak w szalonym pędzie wybiegła w pole. Była bardzo o nią niespokojna, a niepokój ten wzrósł, gdy w godzinę później stary Bartek przyszedł pytać o wnuczkę.

— Na miłość Boską! — zawołała, nie spotkaliście ją? — Godzinę temu poszła stąd! Musiało ją spotkać jakieś nieszczęście! Chodźmy szukać.

Pobiegła i zaalarmowała całą wieś.

— Zmiłujcie się i nie dajcie marnie zginąć tej biedaczce — prosiła. — Bóg wam to wynagrodzi na waszych dzieciach.

Wnet wyruszyła grupa chłopów na poszukiwanie.

W świeżym śniegu zobaczyli w krwawym oświetleniu pochodni ślady wiodące aż na kraj skały i spojrzeli po sobie znacząco.

Jeden z młodszych, śmiałek niezwykły, z narażeniem życia spuścił się na dół po stromej ścianie skalnej i zobaczył na dnie zwłoki Anny w kałuży krwi.

Popatrzył na cichą jej twarz, położył rękę na jej serce. Nie biło już. Chłop zdjął czapkę i zmówił pacierz, potem powoli i poważnie jął się spinać do góry.

Wróciwszy do swych towarzyszy, rzekł ze smutkiem:

— Nie macie co dalej szukać, bo ona jest tam na dole nieżywa. Zmówcie wieczny odpoczynek.

ROZDZIAŁ C C

Patrz, to twoja ofiara!

Prostaczkowie mają czasem wiele delikatności.

I w tym wypadku włościanie przygotowywali Bartka na smutną wieść o śmierci córki.

Powiedzieli mu, że ona wpadła w przepaść i jest ciężko chora.

Lecz on domyślił się od razu całej prawdy i zawołał, siląc się na spokój:

— Ona nie żyje!

Gdzie jest ?— zapytał po chwili.

Anzelm powiedział mu, gdzie leżą jej zwłoki i którędy je będą musieli dźwigać, gdyż po stromej ścianie wynieść było niepodobna.

— Ja jestem biedny — rzekł stary na to z takim chłodnym spokojem, że aż nie miło było słuchać — nie mogę wam za to nic zapłacić.

— Nie obrażaj nas! — zawołał Anzelm — za chrześcijańską usługę nie przyjęlibyśmy zapłaty. Przyniesiemy ci ją zaraz do domu.

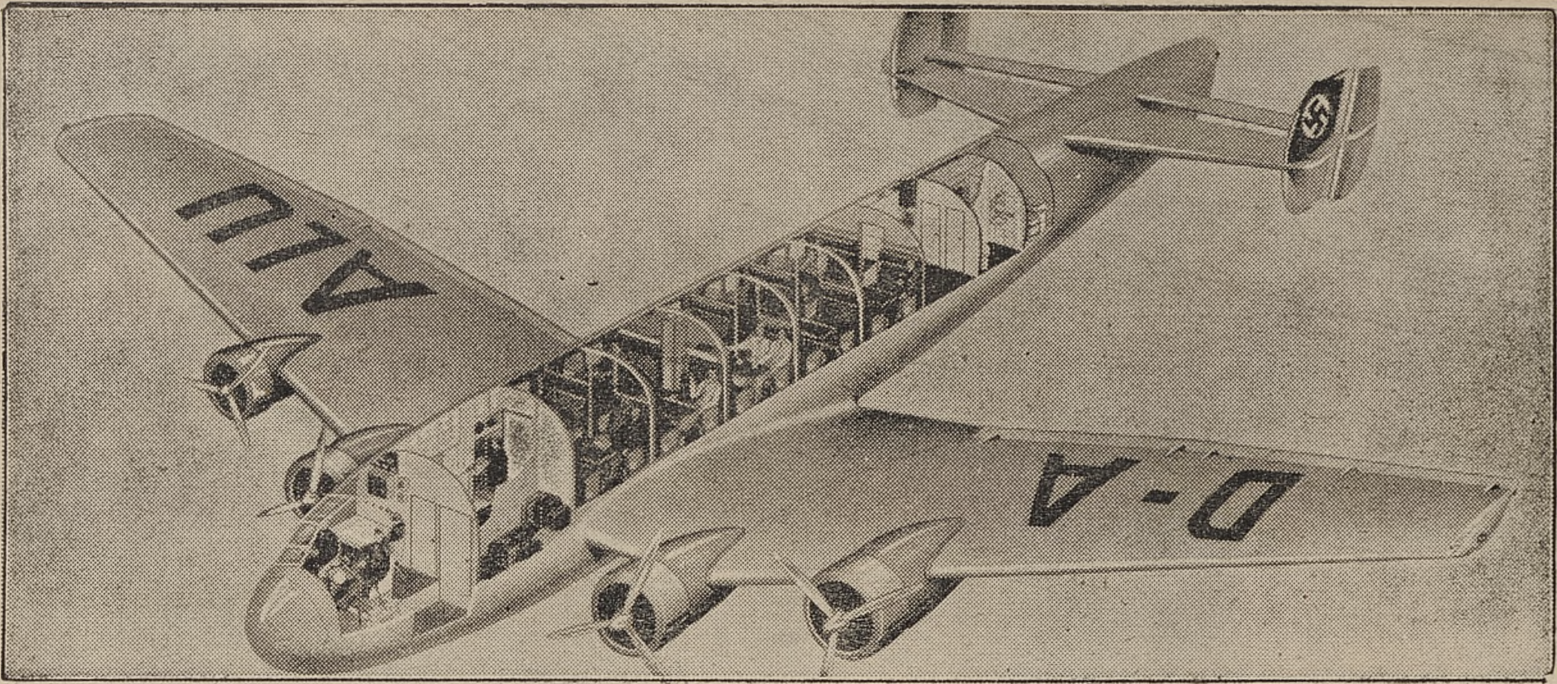
— Nie, nie do domu! — prosił ponuro Bartek — zanieście ją do Gedalego.

Z sosnowych gałęzi sporządzili nosze i wybierając się po zwłoki, chcieli, by Bartek nie poszedł z nimi, tylko żeby czekał na nich w karczmie.

On jednak nic nie odpowiedział, tylko wziął od jednego z nich pochodnię smolną i wyprzedził obydwu towarzyszy.

Nie mówił nic, tylko w oczach gorzał mu dziki ogień.

Tamci dwaj patrzyli nań z ukrytym współczuciem, jakie mieli dla człowieka,



Obecna lotnicza komunikacja wymaga nie tylko gwarancji bezpieczeństwa życia pasażerów ale poza tym dużo wygody. Na zdjęciu model samolotu, który ma rozwiązać obydwa problemy.

który stracił wszystko na świecie, ale nic nie mówili.

Gdy wreszcie po długiej wędrówce okrążyli kompleks skał i po możliwej drodze dostali się do przepaści, gdzie leżały zwłoki, pochylił się Bartek nad trupem wnuczki i grubą dłonią delikatnie odgarnął włosy z zakrwawionej twarzy.

— Anno Mario — pomyślał biedny starzec, teraz już nic cię nie boli, sieroto, nikt cię nie będzie wyśmiewał. Spoczniesz spokojnie pod murem cmentarnym.

Podniósł ją sam i położył na noszach.

Do osady Marii Śnieżnej wrócili o północy.

Gedalowa i Lena czekały na nich, szczególnie Lena blada jak trup, wypatrywała pilnie przez okno.

— Idą! — rzekła do matki — ze zwłokami! Dlaczego do nas?

Gedalowa wybiegła przed chatę.

— Niech cię Bóg pocieszy, ojcze Bartku! — rzekła ze współczuciem — smutno ci będzie samemu na świecie, ale tej biedaczce, tam będzie lepiej, bo tu nie miała szczęścia, ani spokoju.

On nic nie odpowiedział, tylko milcząc dał do zrozumienia, żeby zwłoki wnieść do domu.

W szynkowni dopiero otworzył usta po raz pierwszy.

— Gdzie ten pan z miasta? — zapytał drżącą Lenę.

Lena wskazała mu drzwi, on je otworzył.

Sam z ogromnym wysiłkiem podniósł teraz nosze i wniósł je do pokoju, gdzie je postawił obok łoża Teobalda.

— Co robisz? — rzekła przerażona Gedalowa — on tam umrze ze strachu.

Stary nic nie odpowiedział, tylko zbliżył się do łóżka Teobalda, chwycił go za ramiona i potrząsł nim gwałtownie, wołając głuchym, strasznym głosem:

— Patrz! to twoja ofiara! Tyś to zapędził ją do grobu!

Teobald zbudzony tak brutalnie z gorączkowego snu, rozglądnął się półprzytomnie, a gdy wzrok jego padł na trupa straszliwie zakrwawionego, przerażony zakrył oczy rękoma.

— Nie jest to ładny widok? — pytał Bartek głosem przyciszonym, ale tak strasznym, że przenikał zbrodniarza do szpiku kości — cztery lata cierpiała biedaczka za to, że wierzyła przycięgom krzywoprzysięzcy! Teraz leży tu z roztrzaskaną głową i pogruchotanymi kośćmi. Tyś ją zamordował, zbóju! Pozbawiłeś ją naprzód wszystkiego, co miała na ziemi, a potem w śmierć ją popchnąłeś! A kto tu zawinił!? Ona, czy ty!? Dlaczego to ona musiała pokutować i za twoje winy? Morderco!

— To nieprawda! — zawołał teraz Teobald, który w trakcie tego odzyskał bezczelność — co ja temu winien, że ona w swoim obłędzie wzięła mnie za swego kochanka?!

— Bóg, który wszystko wie i widzi! — rzekł uroczyście stary Bartłomiej — osądzi cię, czy mówisz prawdę. Ja rąk nie splamię twoją krwią. Ale przekleństwo moje i ten widok krwawy iść będą za tobą w ślad przez całe twe życie, krok w krok, wypali ci znamię Kaina na czole, że ludzie uciekać będą od ciebie tak, jak od zapowietrzonego człowieka. Bądź przeklęty na wieki wieków!!!

— Nie jestem uwodzicielem — kłamał Teobald.

— Patrz! — przerwał mu starzec wskazując na rany wnuczki, z których na nowo krew zaczęła się sączyć — sam Bóg cię wobec mnie oskarża i daje tu żywe świadectwo twej zbrodni! Przekląłem zbrodniarza — rany się otwierają i krwawią na nowo! Bóg cię oskarża i Bóg cię osądzi! Ja w swoje nikłe ręce nie wezmę zemsty! Palec Boże ją wykona!

To rzekłszy, wyszedł z pokoju.

— Zabierzcie to stąd, bo zwariuję — wrzeszczał Teobald.

— Nie podoba się panu patrzeć na to nieszczęście, co pan narobił? — zapytał zza progu Anzelm.

— Zabierzcie to stąd — darł się Teobald jak szalony.

— Zabierzcie — prosiła Gedalowa — morderca i jego ofiara nie mogą być pod jednym dachem.

Mężczyźni ze wzgardą i nienawiścią patrzyli na Teobalda, gdy zabierali z jego pokoju nosze, aby wynieść zwłoki do drugiej chaty.

— Ja tu nie zostanę! — krzyczał Teobald — ja tu nie chcę zostać, gdzie tak mnie obrażają!

— Dostarczymy panu sań! — zapewniła go Gedalowa i zatrzasnęła drzwi od jego pokoju.

— Boże mój! — rzekła — kamień mi spadnie z serca, jeżeli się tego szubrawca już raz pozbędę!

Zbudziła męża, który smacznie chrapał i opowiedziała mu wszystko, co się stało.

— Pokaż, że jesteś mężczyzną — rzekła — i postaraj się, żeby ten morderca, jak najprędzej wyniósł się od nas!

Pan Gedali miał jeszcze poważne wątpliwości co do tego, czy można transportować chorego, czy mu się potem noga nie zrośnie krzywo i on nie zostanie kaleką na całe życie, itd. itd.

Ale pani Gedalowa była energiczną niewiastą i umiała kres położyć jego wątpliwościom, a to kilku energicznymi słowami popartymi nawet przez odpowiednie ruchy, niekoniecznie głaskające.

Jak było, tak było, dość, że pan Gedali wstał, ubrał się i poszedł założyć konia do sani, a potem pomagał Teobaldowi się ubrać, a że nie był przy tym bardzo zgrabny, więc całej tej akcji towarzyszyły jęki chorego.

Gdy Teobald chciał zapłacić rachunek za pobyt swój w szynkowni, pani Gedalowa zawołała:

— Schowaj pan to sobie! Pieniądze z rąk poplamionych krwią bliźniego nie przynoszą błogosławieństwa! Ja nie chcę!

— Ależ ja nie chcę waszych podarunków! — odpowiedział Teobald, któremu na te słowa twarz się wykrzywiła i zaklął straszliwie.

Wyciągnął z portmonetki kilka banknotów i rzucił je na ziemię; ale ona pozbierała je z furią i włożyła mu do kuferka.

— Słusznie! — pochwalił ją chłop Anzelm, który przypatrywał się całej tej scenie, wraz z innymi, którzy wynosili Annę Marię i teraz byli zanadto poirytowani,

Ciąg dalszy na stronie 817.

Kraina szczerości i naszych trosk

Każdy Czytelnik „Moich Powieści" ma prawo pisać do tego działu

Dobre rady p. Zofii

NASTROJE JESIENNE

Liście powiędłe od żalu — mgła srebrne szaty rozwiesza —
już nie ma kto piosnek śpiewać i serca kto nie ma pocieszać...
czasami tylko zapłacze ligawka pastusza z oddala —
lub słychać głuche łoskoty od lasu — z siekiery drwala,
czasem coś w sercu twoim ozwie się i rozeźmieje —
jak ranne słonko, co blaskiem na chwilę nad lasem zadnieje...
i myślisz, że złotej wiosny marzenie się twoje ziści,
a tu ci błędną i płaczą od żalu powiędłe liście,
a tu nad zagonami, co ciągną się mglistą smugą,
kołatają nisko i kraczą wrony
żałośnie — —
długo — —

Józef Baranowski.

NIE MOGĘ!

„Samotny Rom". Widzi Pan, nie mogę absolutnie przychylić się do projektu Pana, nie! to jest zupełnie niemożliwe. Przykro mi, ale w tym wypadku będę bardzo stanowcza. Proszę pomyśleć gruntowniej nad tym, a sam Pan zaopiniuje, że mam słuszność i że ten pomysł nie jest wykonalny. Zresztą — przyznam się Panu, że wolę, aby „Krainiacy" malowali sobie w pamięci samodzielnie i własnowolnie portret swej przyjaciółki. Niech choć coś w życiu będzie piękne przez fakt fantazjowania na miły każdej indywidualności ludzkiej temat. Konkretny obraz, fakt spełniony — choćby był najpiękniejszy — traci na uroku tajemniczości, na niepokojącym motywie zachwycenia. A po co całe życie karmić się tylko realizmem — trzeba czasem „maleńko" pomarzyć, pofantazjować, to dobrze robi na samopoczucie i pielęgnuje zmysł artyzmu.

Więc nie weźmie mi Pan — bardzo proszę! — za złe tej odmowy.

Bardzo będę zadowolona, gdy odwiedzi mnie Pan znowu w Redakcji.

Najwięcej czasu mam zawsze w drugiej połowie tygodnia, t. j. od czwartku do soboty do drugiej godziny w południe. Potem mam wolne — odpoczywam i święcę dzień Boży.

Cieszę się, że nabrał Pan tak pochlebnego o mnie mniemania, po swej pierwszej wizycie w mojej redakcji. Druga na pewno da Panu więcej przyjemności, bo będziemy już rozmawiali, jak starzy, bardzo znajomi i to znajomi nie z samych listów — prawda? Moje pozdrowienia!

„Wszystkim sympatyczkom które kiedykolwiek przysyłały mi pozdrowienia serdecznie za nie dziękuję i w pełni je odwzajemniam. Poza tym ślę moc pozdrowień: „Córce Wichru", „Białej Uajali" (dziękuję za pamięć może wkrótce zdobędę się na kilka słów listownie) „Stelli Maris" (co Pani teraz porabia?) i „Zawierusze". „Adzie Wróżce" komunikuję, że nie jestem tym za kogo mnie ma, bo nie mieszkam w Gnieźnie tylko w S. Ślę moc pozdrowień"!

ZAMIESZCZAM...

„Renia z Kolna". Droga Reniu — list Twój wysłałam, według życzenia, „Zadumanej Dusi". Za pozdrowienia dziękuję i szczerze je odwzajemniam. Kiedyindziej pomówię z Tobą dłużej, a dziś tylko zamieszczam Twoje komunikaty:

„Halo! Czarnookiej Irce" dziękuję za dobre słowa. Pozdrawiam Cię serdecznie i proszę o poświęcenie pierwszej nadarzającej się wolnej chwili na napisanie do mnie listu.

Pozdrawiam także „Dziewczynkę z Kujaw", „Młodego Orła"; „Maleńką Lusię" i „Jasnego Felka". Ten ostatni może zechce do mnie napisać. Całej „Krainie" pa!

CZEKAM NIECIERPLIWIE

„Mistyk". Wybaczam chętnie to, że „tak późno napisał Pan do mnie. A dlatego czynię tak, że już taki mam widać charakter, iż na nikogo nie potrafię się gniewać. Niechno ten lub inny pupilek „Krainy" zrobi skruszoną minkę i poprosi łzawym — ba, żeby chociaż! — głosikiem o przebaczenie za te czy inne grzechy — od razu czuję niebezpieczne miody w sercu i z miejsca zapominam wszystko przykre.

Ale odrzućmy żarty. Zupełnie nie gniewałam się na Pana za jego trochę przedłużone milczenie, gdyż tłumaczyłam je sobie słusznie brakiem czasu. Wszak wiem, jak nikt dobrze, że nader często nie rozporządzamy czasem, a owszem, odwrotnie!

Jednakże podaję wielce uprzejmie do wiadomości, że niecierpliwie czekam na przyobiecany długi list.

„Mistyk" zasyła ukłony „Śnieżyczce", „Gwiazdeczce" i „Reniutce" oraz całej „Rodzinie".

Pozdrawiam Pana i życzę dużo przyjemności!

NIE MOGŁO BY BYĆ INACZEJ!

„Ziuteńka". Dobrze. Przyjmuję Panią do „Krainy" z miłą dla mnie myślą, że rychło poczujesz się w niej dobrze. Nie mogłoby być inaczej, gdyż „Krainiacy" wnet poznają się na Twej inteligencji, a reszty dokona Twój ogromny wdzięk i pociągająca szczerość.

„Ziuteńka", to młodziutka blondyneczka o długich warkoczach i ciemno - niebieskich oczach. Mieszka w małym, malowniczo położonym mieście. Życie wypełnia jej praca. Ale kocha również bardzo długie spacery i taniec i lubi marzyć. Obecnie marzy o korespondencji z Sympatyczkami i Sympatykami „Krainy"

Napiszcie do niej, a odpowiedź otrzymacie na pewno.

Pozdrawiam Panią jak najserdeczniej i przedrukowuję Jej komunikaty:

„Czarodziejko", dlaczego tak rzadko pisujesz do „Rodzinki"?

„Słodka Danuś" — podobasz mi się bardzo. Chciałabym zdobyć twoją fotografię. Czy wolno mi skreślić do Ciebie kruciutki choćby liścik?

„Przedwiośnie" proszę o kilka promiennych słów.

H. Thielówna. Podobał mi się wierszyk P. p. t. „W odpowiedzi".

„Wirrycie" — zainteresowała mnie Pana nowelka. „Milutka Lena" pozdrawia Cię.

P. Baranowskiemu najwyższe uznanie za wspaniałe wiersze.

Moc uścisków i pozdrowień ślę wszystkim bez wyjątku!

ZECHCIAŁAM

„Eros". Cudaczne historie mi Pan opowiadasz, przyjdzie mi współczuć Mu, a nie sądzę, aby Pan należał do ludzi, którym to potrzebne. Całe szczęście, że ta „przygoda" przez zlekka zwariowane „p"—skończyła się wcale pokojowo i dyskretnie. Swoją drogą przyda się nauczka — będziesz, Miły Bracie, surowiej patrzył na „wymianę myśli" o niepewnym zabarwieniu.

Słusznie i bardzo nastrojowo uchwycił Pan barwę i sens jesieni. Byle by chciała złocić się nam długo, długo, a nie w tempie gwałtownym przeobrażać się w solidne błotko, strużki deszczu lejące się prawem wszędobylstwa za kołnierz i „przecudowny" katar, co szaleńczo rozszerza się po ludziach i gnębi.

Czy nie chciałabym, ja — ciotuchna — Panu powiedzieć, co jest z „M. Pow."? Chętnie powiem. Otóż załatwiłam sprawę jak najpomyślniej, czego dowodem są dosłane brakujące numery. Otrzymał je Pan chyba? Proszę mi donieść. Cenię sobie Pana współpracę i uczyniłam wszystko, aby go nie zasmucać. Zadowolony Pan?

A co do projektowanej wizyty w Redakcji — proszę sobie wziąć do głowy i serca, że trzymam Pana za słowo.

Za pozdrowienia uprzejmie dziękuję i odwzajemniam się niemniej szczerze.

Sprawa konkursu na razie jest w stadium niezdecydowanego lenistwa. Ni to stoi, ni wartko kroczy naprzód. Wiadomo — marazm w młodzieży i tyle!

Cała „Krainka" ma radosne pozdrowienia od „Erosa".

WRZOSY

Rozdzwoniły się kwitnące wrzosy,
Zapachniało w powietrzu jesienią...
Coś zbudziło we mnie jakieś głosy,
Coś szarpnęło myślami co drzemią...

Ach, to zbliża się koniec radości,
Zamknie się życie flory — zaiste to smuci...
Znów jedno lato przemknęło do przeszłości,
Minął mię czas pędzący, który już nie wróci!...

I to co żyło słońca ciepłym tchnieniem,
Odbiegnie stąd lub zaśnie być może na zawsze,
A chłód i smutek obejmą swym ramieniem
Wszystko co mnie otacza i na co się patrzę...

Zamilknie ptasząt pieśń radosna,
Zahuczy wichrem stary bór,
Ostygnie ziemia, a niebiosa
Skryją się w płachtę brudnych chmur!...

Henryk Myszewski.

SĄDZĘ, ŻE TAK...

„Maleńka Liany". Czy zostaniesz przyjętą? I czy „Kochana i dobra p. Zosia" pokocha i obdarzy Cię przyjaźnią? Sądzę, że tak, jeżeli oczywiście nie zawiedziesz jej i zawsze będziesz się starała być w życiu dobrą i dzielną. Bo najbardziej lubię ludzi dobrych i dzielnych. A Ty, Maleńka Liano, czy zawsze będziesz starała się być taką?

Nie chcę smutków dla Ciebie, nie chcę tych jakichś zmartwień, o których piszesz. Czuję że „Krainiacy" rozjaśnią Ci smutne myśli i otoczą serdeczną, delikatną opieką. Boć jakże by mogli zareagować na tę sympatyczną prośbę:

„Kochani „Krainiacy"! Przyjmijcie mnie do Waszej olbrzymiej „Rodzinki" i pokochajcie, jak siostrzyczkę. Jestem teraz taka samiuteńka i potrzebuję dużo pociechy.

Piszcie do mnie długie, wesołe listy, gdyż chciałabym tak jak Wy być pogodna i zawsze uśmiechnięta. Zasyłam Wam moc całusów i uścisków".

CHĘTNIE...

„Amazonka". Ta pani, nawiasem mówiąc, świetnie jeżdżąca konno, — ma nawet dyplom — pragnie nawiązać korespondencję z „Krainiakami" z Kresów Wschodnich. Ale przeczytajcie sami, co ona mówi:

„Halo! Chętnie nawiążę szczerą, prawdziwą i nierozerwalną nić korespondencji z miłym, przystojnym, a przede wszystkim kulturalnym urzędnikiem gospodarczym (agronomem) z Wołynia, Podola lub Ukrainy. Ponieważ jestem typem południowo - wschodnim, więc tamte strony pociągają mnie szalenie. A głównie stopy, lasy, wody, piaski i te ulubione konie.

Listy proszę kierować możliwie z fotografią do „Krainy" na ręce p. Zofii. Nadmieniam, że trzeba by mi je wysłać najpóźniej do dnia 25 września, bo potem wyjeżdżam na wywczasy. Adres mój znajduje się w Redakcji.

Wszystkim Sympatykom zasyłam dużo bardzo radosnych uśmiechów. I załączam serdeczne pozdrowienia dla „Hasana Ahmeda el Siwi".

GDYBYM MOGŁA!...

„Cicero“. Jak mi przykro, jak niesłychanie przykro, że tak Pan te sprawy bierze, tak chwilami ponuro, beznadziejnie. Nie mogę spokojnie myśleć o tym. Bardzo Pana proszę napisać mi, czy już się zmieniło na lepsze w życiu Pana. Gdybym mogła coś dla Pana uczynić dzięki czemu patrzyłbyś mniej nienawistnie, mściwie na to wszystko... Ale cóż! Wiem, że nic Ci nie pomogę i będziesz dalej myślał, jak myślisz i sądził tak ostro, jak dotąd. Takie bolesne i gnębiące jest to wszystko, co mi przedstawiłeś.

Proszę mi wierzyć, że bardzo przejęłam się słowami Pana. Pociesza mnie tylko fakt, że przy końcu napisałeś mi Pan, iż mimo wszystko pragniesz spojrzeć jaśniej, ba, chcesz być optymistą. Oby to się Panu udało!

W każdym razie nie omieszkaj proszę donieść mi o zmianie w swej egzystencji. Dobrze? Zasyłam Ci mocny uścisk dłoni i w Twym imieniu zapytuję:

Co robi Toruń 1? Dlaczego nie odpisuje na list i fotki?

Pozdrowienia dla p. K. D.

GDYBY NAPISALI...

„Danka z Pomorza“. Jest jasną blondynką o czarnych oczach i buzi okrągłej. Ogromnie lubi jazdę na rowerze, uwielbia — jak pisze — śpiew. Jest mieszkanką wsi w powiecie Grudziądzkim. Okolica tam przepiękna, otoczona lasem, a jest tam także jezioro.

Lecz to wszystko, jakkolwiek raduje człowieka, przecież nie zastąpi żywej, współmyślącej istoty i nie zobojętni właściwego ludziom głodu ludzkiej sympatii i uczucia.

Człowiek lgnie do człowieka, potrzebuje wspólnej rozmowy, zabawy. Chce czuć i wiedzieć, że ma drugą istotę, co gotowa jest dzielić z nim doznania i smutku i nadziei. A niechby to wzajemne współżycie objawiało się tylko w wymianie listów — już współkorespondenci nie czują się tak opuszczonymi. Nie są tak bardzo „sami“.

Dlatego też „Danka“ wstępuje do „Krainki“ prosząc ją o przychylność.

Wszystkim zasyła moc pozdrowień, a osobno dla „Krysi z nad Bałtyku“, „Cygance o smętnych oczach“ i „Jankowi z K. O. P-u“. Byłaby szczęśliwa, gdyby do niej napisali.

WZAJEMNIE...

„Ali — Alu“. Dziękuję Panu za pozdrowienie i miłe słowa uznania. Wzajemnie przesyłam Panu uścisk dłoni i umieszczam komunikaty:

„Maleńka Lusia“. Za uścisk dłoni dziękuję, jak również za pozdrowienie, które w całej pełni odwzajemniam. Ponadto zasyłam słoneczne uśmiechy i jak zwykle słowa otuchy i wiary w dobro i piękno życia. Z pseudonimu odgadłem kryjące się stworzonko. Znamy się już. Przy okazji pomówimy. Na razie proszę o list.

„Smutna i brzydka Irka“ Ślę ci moc serdeczności i słowa szczerego zachwytu. Przyjmij proszę koleżeński uścisk dłoni. Pseudonim mówi odmiennie, dopiero po zobaczeniu jego właścicielki przechodzi się w zachwyt.

„Wróżka Ala“. Dziękuję za pamięć i wzajemnie ślę pozdrowienia serdeczne. Czekam na odpowiedź — czy ją otrzymam?

Paniom: Zofii Fr., Helenie Dol., Stachnie Żak — przesyłam całą furę milutkich pozdrowień.

Dla Hieronima Cyw. w dniu imienin najserdeczniejsze życzenia, wagon śmiechu i przyjacielski uścisk dłoni.

Całej „Rodzince“ wiele gorących pozdrowień.“

ODPOWIADAM CHĘTNIE

„Ar“. Sądzę, że wróciła już Pani z wakacyi i z przyjemnością przeczytasz niniejszy list, dowodzący naszej o Tobie pamięci. Sprawę administracyjną załatwiłam. A na prośbę o radę kosmetyczną odpowiadam również chętnie.

Otóż plamy po wyrzutach, jakie Pani pozostały — można usunąć przez złuszczenie tych miejsc, smarując je na noc 10 proc. maścią siarkową, po uprzednim umyciu twarzy. To powinno bezwzględnie wyrównać kolor skóry.

Na częsty tępy ból głowy podaliśmy skuteczny środek w numerze 18 „Mojej Przyjaciółki“ — może zechce Pani go tam sobie odnaleźć. Pragnę, aby skutek był szybki i zadawalający.

„Ar“ zasyła całej „Rodzince“ najserdeczniejsze pozdrowienia.

„Solidnego“ prosi, aby znowu napisał.

„Ikara III“ prosi o zwrot pożyczonych książek.

Pragnie ponadto korespondować z kimś poważnym, celem wymiany myśli.

Dziękuję Pani, Droga „Ar“ za wszystkie słowa uznania i pozdrawiam!!!

PROSZĘ O ADRES

„Liana“ prosi nas o przyjęcie do „Krainy“, zaś my Ją prosimy o podanie adresu. Nie rozumiem, jak mogą te moje pociechy być tak roztrzepane, że prosząc o listy nie podają swego adresu. Przecież sensu nie ma, aby „Krainiacy“ po to słali do mnie listy, żeby one zalegały w redakcji.

Zawsze należy nadesłać redakcji swój adres, który pozostaje zachowany w ścisłej tajemnicy.

Po tej krótkiej reprymendzie, przechodzę do Twoich komunikatów, Mała „Liano“!

„Halo! „Wirrycie“ — dziękuję Ci za pozdrowienia (H. Cz.) przesłane mi w „Moich Powieściach“ w dniu 13-tym września. Proszę o długi list i przesyłam uśmiech radości oraz serdeczny uścisk dłoni!

Wszystkim „Kraniakom“ dużo dobrych życzeń!

PAMIĘTAM!

„Polna Różyczka II“. Odrazu odpowiadam na Twój list, abyś już nie czyniła mi wymówek, że o Tobie nie pamiętam. Pamiętam, ale mam dużo listów i muszę je załatwiać stopniowo: list za listem. Do Twoich jeszcze widocznie nie doszłam — w każdym razie, staram się nie krzywdzić Cię, Moja Ty Mała Dziewczynko, i z miejsca odpowiadam.

Moją sympatię masz już dawno i wcale Ci jej nie odebrałam, przeciwnie, jeszcze więcej Cię lubię!

A myślę, że „Jaś - Sokół“, „Mała Konwalijka“, „Dafne“, „Samotny Sfinks“ i „Stepowy Płomień“ polubią Cię także i że zaprzyjaźnicie się szybko.

Napisz mi długi list i donieś o wszystkim, co Ci leży na sercu — chętnie posłucham i odpowiem.

A teraz całuję Cię serdecznie i zasyłam słodkie uśmiechy.

GDY CIĘ GNĘBIĄ TROSKI

Wandzia“. Nie masz słuszności, Dziecinko, że nie piszesz do nas, gdy Cię gnębią troski, a tylko wówczas, gdy już się ich pozbyłaś i gdy życie znowu wydaje Ci się lekkie i proste. Nie! My jesteśmy po to ogromną „Rodzinką“, abyśmy dzielili wspólne swoje złe i dobre dole i byśmy sobie życie umilali wzajemną korespondencją. To jedno, co chciałam Pani powiedzieć. Drugie, to sprawa abonamentu — załatwienie tego poruczyłam naszej administracji. Sądzę, że będziesz zadowolona.

Czekam na te „kilometrowe“ listy i pozdrawiam Cię serdecznie, równocześnie wyrażając podziękowanie za wszystkie dobre słowa przeznaczone dla „Krainiaków“ i dla mnie.

CZEKAM!

„Przedwiośnie“ śle moc pozdrowień ze św. powitania armii w Bydgoszczy dla „Białej Uajali“, „Carmen“, „Czarnego Hajduczka“ oraz dla całej „Rodzinki“.

Niepokoję się bardzo o to „coś strasznego“, co Ci się, Złota Dziewczynko, wydarzyło. Przyślij już szybko ten ważny list, abym mogła spokojnie pracować, nie biedząc głowy nad tym czymś, co mnie przeraża, a w rzeczywistości może nie jest takie straszne.

Pozdrawiam Cię i całuję i... czekam!

CZEKA SWEJ KOLEJKI...

„Kresowiak z Leszna“. Przyjmuję Pana do „Krainki“ z życzeniem, abyś szybko poczuł się w niej, jak we własnej kochającej rodzinie. Nowela Pana czeka swej kolejki Postaram się ją niedługo przeczytać i wydać właściwą ocenę.

Chciałam zaznaczyć, że na ocenę utworów przysyłanych nam do wydrukowania, absolutnie nie ma wpływu nic postronnego, a tylko i jedynie ich rzeczywista wartość literacka.

Pozdrawiam Pana serdecznie i życzę Sympatycznej współkorespondencji z „Krainiakami“.

Teczka Wujka Janusza

W JESIENNĄ NOC...

Nocy jesienna... pragniesz żyć w pamięci,
Ale ją, głos mego serca zgłuszę...
Spalę wspomnienia... zniszczę... aby więcej
Jadem tęsknoty nie truć swą duszę...

O, nocy jesienna! Gdy widzę ciebie
Za oknami tak jasną, tak złotą
I cudną w wieńcu tych gwiazd na niebie,
To płacze głucho we mnie tęsknota...

To myśli moje, jak te mgiełki białe,
Tulą się cicho do ziemi smutnej...
O nocy! Wspólnych celów moc nam dałaś,
Lecz po co rozdzieliłaś?... Tak żyć trudno!...

„Maleńka Dzidzi“.

CZY DŁUGO?

„Maleńka Dzidzi“. Miły jest wierszyk Pani pt. „W jesienną noc“... Chętnie go dałem do druku. A czy długo będę czekał na nową partię wierszy, i serdecznych słów? Oby nie! Zasyłam Pani moc dobrych życzeń i przyjacielki uścisk dłoni.

CZY SŁYSZYSZ?

Idziemy razem niby dwa duchy
Skąpane całe w jasności...
Pragnę tak iść przez całe swe życie
I słuchać... słuchać o Twej miłości.

Bo w sercu mym brzmi pieśń potężna
Miłości pieśń i hymn oddania,
Czy słyszysz je? Czy serce Twe
Wzajemnie się oddzwania?

O chodźmy, miły, jako dwa duchy
Do wrót ogrodu miłości,
Wyprzedziem cudną baśń, jako sen
Zniknie cień szarej rzeczywistości.

Ze snu cudnego nie zbudzić się więcej
I wciąż... i wciąż go śnić,
Nie czuć, nie myśleć, zapomnieć,
Że kiedyś skończy się nić.

Więc kochaj mię, mój chłopcze jedyny,
I mów mi o swej miłości,
A pogrążymy się w śnie bajkowym
Zgłuszymy szarość rzeczywistości.

Serce me śpiewa potężną pieśń,
Śpiewa miłości hymn,
Czy słyszysz go mój jedyny?
O proszę... odpowiedz mi...

Szałkowska Zofia

SĄDZĘ...

P. Z. Sz. Wierszyk Pani umieszczam pod tytułem „Czy słyszysz?“ Naogół dobry, lecz ma jeszcze takie niedociągnięcia, jak niejednolitość myśli i chropowatość — nie jest dość rytmiczny. Sądzę, że następny wierszyk Pani będzie już zupełnie dobry. Proszę przyjąć moje serdeczne pozdrowienia i odwzajemnić mi się miłym uśmiechem.

CHĘTNIE

„Iste Venus“. Wierszyk Pani „Bez zmian“ słaby — nie umieszczę. Może nadeśle nam Pani znowu kiedy inny? Chętnie przeglądnę go i gdy będzie dobry — wydrukuję. Na razie zasyłam Pani moc pozdrowień i serdeczny uścisk dłoni!

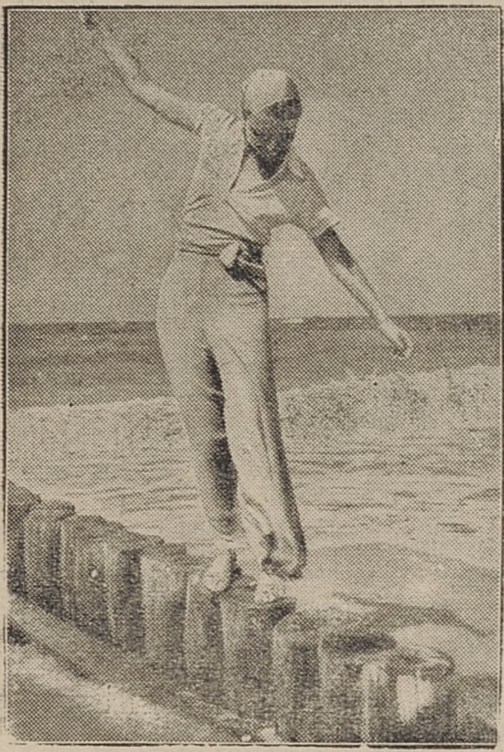
MOŻE INNE...

„Wieszczka Kwiatów“. Wierszyka Pani pt. „List“ nie zaawansowałem do druku. Jest on zbyt słaby, gdy chodzi o formę poetycką i zbyt lapidarny w treści.

Może inne będą szczęśliwsze — ten nie! Proszę czytać dużo dobrej, drukowanej poezji w celu zgłębienia tajników naprawdę żywego, cudownego, wierszowanego słowa.

Pozdrawiam Panią jak najserdeczniej i proszę o pamięć na przyszłość.

Raj kobiet







Najmilsze chwile z wakacyj utrwaliły zdjęcia ...

Szybka decyzja

W miejscowości Sahai, japońskim mieście portowym na wyspie Nippon, znajduje się zakład kąpielowy, który pozornie nie ma w sobie nic nadzwyczajnego i wygląda jak każde inne tego rodzaju przedsiębiorstwo, to też wielkie zdziwienie w całym mieście wywołało, że pewnego dnia przed wejściem do zakładu zebrał się tłum, w którym przeważały kobiety. Przyczyną zbiegowiska była tablica, wywieszona przy wejściu do zakładu kąpielowego. Na tablicy tej było napisane:

„Chciałbym się ożenić. Poszukuję młodej panny, która by mogła wykazać się następującymi zaletami:

1) pochodzenie z dobrej rodziny, zdrowie i wysoki wzrost;

2) wesołe usposobienie;

3) pracowitość i energia;

4) muzykalność i umiejętność gry na jakimkolwiek instrumencie.

Która z panien, jakie przeczytają tę tablicę, uważa, że odpowiada powyższym warunkom, niech wejdzie, aby ze mną osobiście pomówić. Jestem mężczyzną zdrowym, przystojnym, zamożnym i moją własnością jest zakład kąpielowy, na którym wisi ta tablica".

Przed drzwiami do zakładu kąpielowego zapanował taki ścisk, że miejscowa policja musiała wystawić specjalny posterunek, przestrzegający porządku.

Zbiegowisko trwało bardzo krótko, ponieważ oryginalny amator małżeństwa zdecydował się bardzo prędko i już czwartą pannę, która skorzystała z zaproszenia, wybrał na małżonkę.

Co powinna dawać kolej

W gazetach amerykańskich ukazało się następujące ogłoszenie:

„Potrzebne są trzy panienki: jedna ruda, jedna brunetka i jedna blondynka. Kandydatki powinny być przystojne i dobrze ułożone oraz umieć zabawiać gości rozmową i śpiewem".

Jakie to przedsiębiorstwo poszukuje takich pracowniczek i na czym polegać ma praca, do której potrzebna jest jedynie uroda i umiejętność zabawiania gości? Ogłoszenie może budzić brzydkie podejrzenia.

W rzeczywistości nie ma w nim nic zdrożnego: dziewczęta mają pełnić funkcje „gospodyń" w pociągach pasażerskich, a mianowicie wskazywać pasażerom miejsca i zabawiać ich w czasie podróży. Pomysł takiego uprzyjemniania godzin spędzanych w pociągu przyszedł do głowy b. burmistrzowi miasta Seattle, Wiktorowi Megersowi, który obecnie jest właścicielem klubu nocnego.

Pan Megers twierdzi, że kolej powinna nie tylko zapewnić podróżnym jak największe wygody, lecz również bronić ich od nudy i że przystojne „gospodynie" pociągów nadadzą podróży wiele uroku.

Niemkom nie wolno się kształcić

Hitlerowskie Niemcy coraz bardziej ograniczają dostęp na wyższe uczelnie kobietom, odsyłając je do gospodarstwa domowego. Każdy wydział uniwersytetu w Niemczech posiada zgóry wyznaczony kontyngent miejsc dla studentek.

Zainteresowanie naszymi działaczkami polit. w świecie

Niedawno zwróciła się p. Graber, żona dziekana uniwersytetu w Washingtonie, z prośbą o przysłanie jej życiorysów i fotografij trzech najwybitniejszych działaczek politycznych w Polsce. Dane te pragnie p. Graber zużytkować w serji odczytów o wybitnych kobietach świata. Także z Finlandii zgłasza się znana fińska literatka, p. Maila Talvio, prosząc o wskazanie jej literatury, poświęconej Emilii Plater.

Świat i życie

Coś o słoniach

Carveth Wells, członek Królewskiego Towarzystwa Geograficznego w Londynie podaje następujące ciekawe a mało komu znane wiadomości o słoniach, ulubieńcach bywalców ogrodów zoologicznych całego świata.

Aby dowiedzieć się skąd słoń pochodzi, trzeba przede wszystkim spojrzeć na jego kopyta, czyli paznokcie. Jeśli ma ich pięć na przednich, a cztery na tylnych nogach — pochodzi z Azji, jeżeli cztery na przednich i trzy na tylnych — pochodzi z Afryki. Kto nie chce liczyć kopyt — niechaj spojrzy na trąbę: jeżeli trąba ma jeden wyrostek palcowy — to słoń jest azjatycki, jeżeli dwa wyrostki — słoń jest afrykański. Jeszcze inaczej można słonia poznać po uszach: uszy słonia azjatyckiego mają około 60 cm. długości i są raczej wiotkie, natomiast uszy słoni afrykańskich są wymiaru fortepianu! Słynne białe słonie sjamskie nie

są wcale białe — są one różowe i mają duże sine plamy, przeświecające przez różową skórę. Słonie afrykańskie, zarówno samice jak samce, posiadają potężne kły, natomiast azjatyckie często nie mają wcale kłów, wyjąwszy najwcześniejsze dzieciństwo: wówczas to tracą one kły mleczne, z którymi się urodziły.

Zupełnie błędne jest mniemanie, że kły słonia są jego bronią zaczepną — służą one do kopania ziemi i najlepiej rozwinięte są właśnie w tych krajach, gdzie słonie muszą dużo kopać w poszukiwaniu żywności. Kieł słonia dochodzi do trzech metrów długości, a najwyższa jego waga wynosi około centnara. Za jeden kilogram kości słoniowej płaci się około stu złotych. Nogi słonia są prawie tak giętkie jak ludzkie, słoń kładzie się dużo łatwiej niż koń i należy do bardzo ruchliwych zwierząt. Słoń nigdy nie cierpi długo od niestrawności: jeżeli coś zje, co mu się nie podoba, zapuszcza trąbę przez przełyk do żołądka, wypompowuje jego zawartość i wypluwa ją. — Czy Wellis widział taki zabieg medyczny na własne oczy — zostawiamy to domyślności czytelnika!

Ze świata

Czterech nowoczesnych Robinsonów

Rodowity Amerykanin, porucznik lotnictwa, Lambrecht należał do ekspedycji, która dokonywała poszukiwań za zaginioną lotniczką i rekordzistką Amelią Earhart. Porucznik Lambrecht otrzymał polecenie oblatywania wysp położonych na południe od równika.

Podczas jednej z takich wypraw por. Lambrecht zmuszony był lądować na małej wyspie, należącej do archipelagu Feniksa. Kiedy aparat osiadł na polanie, podbiegło do niego czterech ludzi, podobnych raczej do potworów. Pokryci gęstym włosem mieszkańcy wyspy czynili wrażenie nowoczesnych Robinsonów, rzuconych przez los na pustkowie.

W trakcie rozmowy okazało się, że czterej mieszkańcy wysepki władają dobrze językiem angielskim i pochodzą z Glasgow. Przed trzema laty wybrali się w podróż naukową jako botanicy do obszarów podzwrotnikowych. W rezultacie swej wyprawy postanowili zerwać wszelkie kontakty z cywilizacją i zamieszkać na wysepce. Napół dziki żywot, jaki prowadzili w tym czasie, dał im, jak oświadczyli, wielkie zadowolenie naukowe, poczynili bowiem szereg cennych doświadczeń i badań. Na brak żywności, szczególnie owoców, też nie mieli potrzeby nigdy narzekać, jednakże wyrośli na gruncie potrzeb cywilizacyjnych, nie mogli już po kilku miesiącach znaleźć spokoju. Ustawicznie wierzyli, że musi nadejść chwila, kiedy zostaną wyrwani z tego ośrodka samotności i prymitywu. Chwila ta nadeszła po czterech latach. Porucznik Lambrecht powróciwszy do San Francisco zaalarmował miejscowy konsulat angielski, który wysłał na wyspę samolot pasażerski po nieszczęsnych starych Robinsonów.

Bohaterscy mnisi z góry św. Bernarda przenoszą się w Himalaje

Od prawie tysiąca lat spełniają mnisi z góry św. Bernarda dzieło miłosierdzia chrześcijańskiego, służąc pomocą wędrowcom w Alpach. Setki lat stoi ich klasztor na przełęczy górskiej i był już dla niejednego podróżnego ostoją i ratunkiem.

Dziś czasy się zmieniły. Mało kto przeprawia się przez przełęcze pieszo. Koleje odebrały tej drodze niebezpieczeństwo. Chyba, że zimą zapędzi się turysta w owe strony. A wtedy towarzyszy mu służba telefoniczna mnichów, którzy zawiadamiają rozrzucone w górach schroniska i w każdej chwili gotowi są spieszyć z pomocą.

Nowoczesna technika odebrała pracy cichych mnichów z góry św. Bernarda dawny nimb bohaterstwa. Alpy nie są tą co dawniej krainą niebezpieczeństw. W styczniu r. 1932 udało się sześciu mnichów z klasztoru św. Bernarda w daleką podróż — w nieznane. Poszli w Himalaje tam, gdzie zbiegają się granice Chin, Tybetu i Birmy. Poszli badać owe strony by przekonać się, czy ich długowiekowe doświadczenie niesienia pomocy w górach nie mogłoby przynieść ulgi mieszkańcom i podróżnym owych stron. Chcieliby ratować zabłąkanych wędrowców na himalajskich wertepach, skoro praca w Europie już staje się zbyteczną.

Trzeba było kilka lat studiów przedwstępnych oraz zezwolenia miejscowych czynników, aż dopiero niedawno nadeszła pożądana koncesja rządu chińskiego, który otwiera mnichom pole do pracy. W maju rozpoczęła się budowa pierwszego schroniska na przełęczy Latsa, powstanie kaplica, refektorium, szpital. Oczywiście nie zapomniano też o słynnych psach — Bernardynach wiernych towarzyszach ofiarnych mnichów, których całe stado jest już w Azji.

Na szerokim globie jest wiele miejsca, gdzie nędza ludzka czeka na pomocne dłonie.

ERYK GOŁĄBOWSKI

Cyrkówka

Stasiek D., syn bogatego kupca stanął przy oknie swego gabinetu i spoglądał w dal na ogromny plac, gdzie stanął wysoki, czteromasztowy namiot cyrku „Brawura". Masa ludzi kręciła się naokoło i każdy patrzył z za ogrodzenia na życie wędrujących artystów, którzy przygotowali się do wieczornego przedstawienia. Ze lśniących tub, umieszczonych nad wejściem, płynęły tony najrozmaitrzych melodii, tłumione czasem przeraźliwym rykiem lwów, zamkniętych w małych żelaznych klatkach.

No, jeszcze tylko jedno przedstawienie, pomyślał Stasiek. Potem wszystko zniknie, zostanie tylko goły plac a w sercu zostaną miłe wspomnienia.

Stasiek zakochał się w jednej z artystek, w młodej, pięknej, o ślicznych oczach, Toli. Kochał ją namiętnie od pierwszej chwili poznania.

Tola także pokochała go szczerze, lecz myśl o tem, że wkrótce trzeba będzie zapomnieć o tym miłym chłopcu, że trzeba dalej wędrować, zarabiać na kawałek chleba, napełniała jej serce goryczą.

Zegar na wieży kościelnej wybijał 7-mą godzinę. Ostatnie blade promienie zachodzącego słońca znikły za domami. Przed kasą cyrkową wielki ruch. Wnętrze cyrku napełniało się widzami.

Stasiek, jak w każdy wieczór przed występem Toli, rozmawiał z nią chwilkę.

Dziś miało to być poraz ostatni.

Tola stała przed nim odziana ciemną kolorową piżamą i patrzyła czarującym wzrokiem w toń jego oczu. Milczała. Nie mogła zrozumieć, że tak prędko minęły te przyjemne chwile, że nadszedł dzień pożegnania.

Tolciu, czy przespacerujemy się trochę po przedstawieniu, odezwał się do niej Staś.

Zamyśliła się, spuściła głowę i rzekła: Dziś już nie, mój kochany, a może już nigdy.

Ależ ja muszę jeszcze dzisiaj z Tobą porozmawiać. Chodzi przecież o Twoją i moją przyszłość; Ty nie odjedziesz, bo...

Więc Ty naprawdę....

Nie dokończyła, bo reżyser już wołał, by przyszła do szatni, gdzie miała czekać na występ.

Stasiek udał się do wnętrza i siadł w loży, którą poprzednio zakupił na wszystkie przedstawienia.

Tola oparła się o filar dźwigający strop 'sztani i nieruchomym wzrokiem patrzyła przed siebie. Słowa Staśka napełniły jej serce ogrom ną radość. Chciała przecież porzucić tą wstrętną wędrówkę i zostać z Nim, z tym którego kochała całym sercem.

A kontrakt!!?, przeleciało jej przez głowę. Zbladła, dech zamarł w piersi. Przecież jej występ reklamują już w miejscowości, do której się jutro udają i nic nie może być odwołane. Nie może go zerwać, to jej grozi karą. Rozpoczęła się wewnętrza walka między obowiązkiem a sercem, walka mająca rozstrzygnąć jeszcze dziś o jej przyszłość.

Wtem odezwał się gong, znak, że jej numer nadchodzi.

Tola poprawiła zgrabną rączką czarne loki, zrzuciła kolorową piżamę i weszła na arenę.

Ciemno. Z boku ogromny reflektor rzucił na nią snop jasno-fioletowego światła. Tola stała chwilkę jak posąg wyprostowana i z wymuszonym uśmiechem na karminowych ustach dziękowała za huczne oklaski. W jasnych promieniach stała jak bogini, piękna, wysmukła. Czarny, ściśle przylegający kostium uwydatniał jej harmonijne kształty.

Orkiestra zagrała tango „Ostatnia niedziela". To tango, które tyle razy już słyszała, a które dziś przeszywało bólem jej serce.

Ostatnia niedziela, pomyślała i spojrzała do loży, gdzie zaniepokojony o los swej maleńkiej, siedział Staś. Uśmiechnęła się szczerze.

Z ciężkim sercem, zwinię, miękko wślizgnęła się po linie pod sam wierzch cyrku, gdzie na trapezie wykonać miała najniebezpieczniejsze, karkołomne akrobacje.

Publiczność cicho, z powagą śledziła jej ruchy, podziwiała elastyczne smukłe ciało i po każdej atrakcji biła obficie brawa.

Zbliżał się ostatni, najtrudniejszy numer.

Tola spojrzała w dół do loży i mimowoli przeleciało jej przez głowę słowo: „kontrakt". Coś w niej zawrzło, coś zakotłowało w jej sercu.

Opamiętała się jednak szybko i wyprężywszy się jak struna rozpoczęła ostatni wyczyn. Zgięła mocno muskularne ciało i jednym mocnym szarpnięciem stanęła na rękach, tam wysoko nad głowami widzów, na wąskiej kładce, którą przejść miała na rękach.

Smutne tony tanga przewijały się ociężale w powietrzu. Widzowie tamowali oddech w piersiach na widok szalonej odwagi artystki... gdy wtem... Tola niby straciła panowanie nad posłusznym dotychczas ciałem, runęła z góry na twardą podłogę areny.

Krzyk ogromny przeszył powietrze, zapanowało wielkie zamieszanie.

Stasiek pierwszy znalazł się przestraszony przy Toli, która nieprzytomna spoczywała na dywanie.

W szpitalu, na białym łożu leżała Tola. Przy niej Staś, który od chwili wypadku już jej nie opuścił.

Spała. Blada twarz, otulona kurczymi włosami, spoczywała na śnieżnej poduszce.

Panie D., wobec tego, że pacjentce tymczasem nie grozi żadne niebezpieczeństwo pójdę trochę się przebrać i za chwilę wrócę, rzekł lekarz, dobry znajomy Stasia, i oddalił się.

Zaledwie drzwi za sobą zamknął Tola otworzyła oczy i przestraszona spojrzała naokoło a spotkawszy miły wzrok Staśka, lekko się uśmiechnęła i zamknęła oczy.

Dlaczegoś to zrobiła, odezwał się do niej miękkim głosem.

Wzdrygnęła się. Przez głowę przeleciała jej scena z cyrku.

Lekko podniosła głowę, spojrzała w słodką twarz kochanego i rzekła:

„Zrobiłam to dla Ciebie. Inaczej nie mogłam zerwać kontrakt, nie mogłam zerwać z tym życiem pełnym udręki, a nie chciała, opuścić Ciebie, bo kocham Cię nad życie.

Staś ukląkł przed nią i ująwszy w dłonie jej głowę długo wpatrywał się w ciemną toń jej oczu a potem usta ich złączyły się w radosnym upojonym pocałunku, po którym Tola „cyrkówka" miała zostać przy boku kochającego Stasia.

żeby mogli spać, więc gromadzili się w szynkowni koło ogniska.

— Kto mi pomoże zanieść go do sań? — zapytał Gedali, zwracając się do nich.

— Ja nie! — odpowiedział Anzelm.

— Ja za żadne skarby świata nie dotknę się tego człowieka! — zawołał drugi.

— I ja nie! I ja nie! zawołali inni, jeden przez drugiego.

— Ależ moi kochani! — prosił Gedali — przecie ktoś mi musi pomóc, jeżeli go się mamy stąd pozbyć.

Kiedy nareszcie dał się któryś namówić i Teobald siedział na saniach, zobaczył, że gospodyni otwiera okno w pokoju, po nim, jak po zapowietrzonym.

Zaklął straszliwie, ale wnet ruch sanek, których każde uderzenie o najmniejszą grudę sprawiło mu ból szalony, zaabsorbował go zupełnie.

Jęczał przez całą drogę, co trwała aż do świtu. Nad ranem przyjechał do miasta i kazał się zawieźć wprost na dworzec.

— Doktor niech mi przyśle rachunek do Wiednia, pod adresem aptekarza pod złotym aniołem! — rzekł do Gedalego, który zdejmował go z sań i oddawał w ręce pakierów, jakby jaką paczkę.

Z niemiłym zdziwieniem zauważył Teobald, że obok jego własnych pakunków leżą także rzeczy markiza i zaczął się już kłopotać, jakby się ich pozbyć i układał sobie, co i jak ma nakłamać zarządcy markiza, gdy rzeczy te będzie oddawał.

Układanie tych planów uspokoiło go trochę. Intrygant czuł się w swoim żywiole, gdy znowu mógł knuć jakieś łajdactwo.

Skinął na pakiera i kazał mu kupić dla siebie bilet drugiej klasy do Wiednia.

Do odejścia pociągu było jeszcze dużo czasu.

Kilka godzin niecierpliwił się Teobald w pustej poczekalni, zanim nadszedł pociąg, który miał go zabrać.

Kilku pakierów zaniosło go do wagonu, gdzie konduktor w zamian za suty napiwek, dał mu osobny przedział.

Wnet pociąg ruszył i wywiózł Teobalda z okolicy, która była widownią jednej jego nieudałej, a jednej wykonanej zbrodni; ale choć z okolicy odjeżdżał z szybkością wielką, unoszony pociągiem pośpiesznym, to jednak wyrzutom sumienia nie zdołał umknąć.

Gdziekolwiek się zwróci, wszędzie poniesie tego robaka, który go gryźć będzie świadomością dokonanego mordu, wszędzie będzie w nim ten ogień wewnętrzny, który go będzie trawił i pożerał.

ROZDZIAŁ CCI.

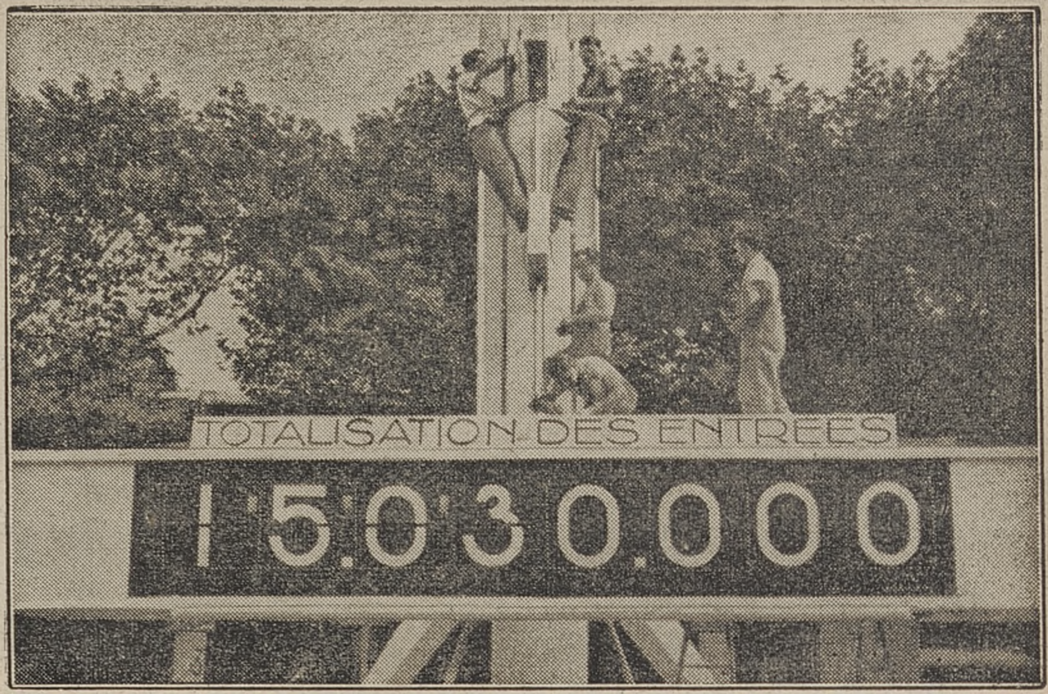
Zuzia wiodła życie bardzo nędzne.

Zdarzało się wprawdzie, że znajdowała rycerzy, którzy za nią przez pewien czas płacili. Ale, że piękność jej nikła z każdym dniem, więc wypadki takie były coraz rzadsze.

Zuzia przeklinała niewierność swoją i dzień, w którym po raz pierwszy zeszła z drogi cnoty i obowiązku.

Jak chętnie byłaby teraz wróciła do domu Józefa, jak chętnie pracowałaby w cichej farmie! Powstrzymywał ją od powrotu tylko wstyd i obawa.

Najgorsze, co ją mogło spotkać, przyszło wreszcie także. Zuzia zachorowała w miasteczku, w którym nie było szpitala, i cały czas choroby przeleżała w zajeździe. W czasie choroby. ostatki jej różowych nadziei zagasły. Postanowiła, gdy zdrowie jej wróci, zabrać się do uczciwej pracy.



Przy wejściu na tereny wystawy paryskiej ustawiono aparat rejestrujący wszystkich wchodzących. Do czasu wykonania powyższego zdjęcia odwiedziło wystawę 15.030.000 osób.

Sprzedała całą garderobę zapasową i wyjechała. W najbliższym mieście szukała zajęcia. W gospodzie, w której się ofiarowała służyć jako kelnerka, odpowiedziano jej, że tam się nie zatrudnia kobiet zamężnych.

— Ależ ja nie jestem zamężna — zapewniała Zuzia.

— Tym gorzej dla was! — odpowiedziała gospodyni, patrząc ze zgorszeniem na jej zeszpeconą figurę. Radzę wam jak najprędzej poszukać sobie męża wobec tego, co tu widzę.

Po długim szukaniu znalazła wreszcie miejsce niańki w jednym domu, w którym gospodyni była pochodzenia murzyńskiego.

Czworo dzieci powierzono jej opiece.

Były to nieznośne bębny, w których przewrotność Murzynów jednoczyła się z pychą Jankesów.

W obecności rodziców chytrze spokojne, wyprawiały tym bardziej po za ich oczyma.

Męka Zuzi trwała przez cały dzień i nie kończyła się nawet w nocy.

To malca któregoś brzuch bolał, to drugiemu zimno było w nogi i chciał, żeby go jeszcze czymś nakryć, to znowu trzeci chciał koniecznie mleka i tak to było bez końca.

Zuzia miała jeszcze prócz sukni, którą nosiła, jedną jedyną suknię jedwabną.

Nie podobało się to dziewczynce, którą ona wychowywała.

— To impertynencja, ażeby sługa nosiła jedwabną suknię, tak jak dama — mówiła mała i pewnego razu wycięła nożyczkami wielką dziurę w sukni.

Inne dzieci miały pasję wlewać Zuzi atrament do herbaty, kłaść jej do łóżka zdechłe szczury, albo króliki i płatać inne figle.

Kiedy Zuzia skarżyła się pani swojej na dzieci, odpowiadano jej mało uprzejmie:

— Trzeba się umieć obchodzić z dziećmi.

Pani Kotskin — tak się nazywała chlebodawczyni Zuzi — do pokoju dzieci zaglądała najwyżej raz na dzień, i to po to, aby im rozdać cukierki.

Naturalnie, że one wtedy były bardzo grzeczne i pani Kotskin dziwiła się, że Zuzia nie może sobie dać rady z tak grzecznymi dziećmi.

Pan Kotskin zaś tak był zajęty zbieraniem pieniędzy, które jego lekkomyślna żona wydawała na stroje, zabawy i przyjęcia, że nie miał czasu troszczyć się o dzieci.

Nieporządek był w tym domu wielki.

Nigdy nie podawano na czas posiłków i nigdy porządnie potraw nie przyprawiono.

Dzieci chętnie bardzo wybiegały z domu i szwendały się po ulicy. Podczas gdy Zuzia jedno z nich złapała i przyniosła do domu, tymczasem dwoje innych, a najmłodsze w kołysce wrzeszczało w niebogłosy.

Zuzia, która sama była w poważnym stanie i trzeba jej było spokoju i wypoczynku, musiała się irytować ciągle i niepokoić. Toteż z dawnej jej piękności nie pozostało ani śladu, oczy jej zapadły się i straciły blask, cera pożółkła, a włosy bujne, czarne, dawniej największa jej ozdoba, teraz były dla niej plagą, bo nie miała czasu czesać je i splatać.

Pewnego dnia pani Kotskin poszła z wizytą, pan Kotskin siedział w swoim kantorze i pracował w pocie czoła, a służba cała, z wyjątkiem Zuzi, urządzała sobie w kuchni pokryjomu ucztę.

Mały James tańczył na ulicy jakiś taniec indyjski i od czasu do czasu stawał, grał Zuzie na nosie i wołał:

— Chodź! łap mnie!

Ale Zuzia czuła się taka osłabiona, że nie mogła biegać za nim.

— Czekaj, czekaj! — rzekła na to mała Herta — ja powiem mamie, że James był na ulicy, bo ty na niego nie uważasz. Jak on się zaziębi, to ty będziesz musiała zapłacić lekarza i aptekę; a ciekawam z czego zapłacisz, bo tego miesiąca nic nie dostaniesz, boś stłukła lampę.

— Nieprawda — broniła się Zuzia — ja nie stłukłam lampy, lampa już była stłuczona! A zresztą, jeżeli tu się prowadzi takie dokładne rachunki, to kto mi zapłaci za moją niebieską suknię jedwabną, z której wycięłaś mi dużą dziurę?

— Ja!? ty śmiesz mówić, że to ja?! Widziałaś? Masz świadków na to!? Widzisz, że nie! Nie możesz mówić. Pilnuj lepiej swojej roboty! Chciałabym, żeby Ja-



Dar społeczeństwa polskiego armii. Na zdjęciu 126 samolotów typu R. W. D. w czasie rewii na lotnisku w Warszawie.

mesa tam na ulicy przynajmniej konie przejechały! Miałabyś za swoje!

Zuzia zlękła się, że małemu na ulicy może się naprawdę coś stać i wybiegła, żeby go zmusić do powrotu do domu.

Tymczasem Herta rzekła do młodszego braciszka:

— Ona zostawiła klucz w swoim futrze. Zobaczymy, czy ona ma jakie pieniądze.

Zaczęto przewracać w kuferku służącej. Pieniędzy nie znalazły, ale znalazły obrączkę ślubną Zuzi.

Ona byłaby chętnie nosiła teraz obrączkę, która dla niej teraz była świętością, ale ręce jej takie były wychudłe, że obrączka spadała jej z palca.

— Pierścionek! — zawołał mały Georg i oczy zabłysły mu chciwością — cukiernik na rogu da mu za niego mnóstwo pierników.

— Ale kiedy ona narobi krzyku — wahała się Herta.

Georgowi szkoda było pierników.

— Potłuczemy ten pierścień w moździerzu na jedną bryłę — to ona nam nie będzie mogła dowieść, że to jej pierścionek.

Herta była zachwycona.

— Idź do kuchni po moździerz — rzekła — powiedz, że chcemy tłuc orzechy.

Zuzia przypomniała sobie, że zostawiła kufer otwarty i obawiając się, że jej znowu zrobią takiego figla, jak z suknią, wróciła do domu.

Po cichutku podkradła się pod pokój dziecinny i słyszała, jak ktoś tam tłucze coś w moździerzu.

— Ten przeklęty pierścień nie chce się dać potłuc! — odezwał się teraz Georg — wciąż jeszcze poznać, że to obrączka.

Zuzię, która to słyszała, tknęło złe przeczucie.

Wbiegła do pokoju, wyrwała im moździerz i poznała w nim ze zgrozą własną obrączkę ślubną.

— A wy niedobre, złośliwe bachory! — zawołała zrozpaczona — czy wy nie macie serca, że wykradacie mi wszystko co mam?!

— My nie wykradamy! — kłamała bezczelnie Herta — my to znaleźliśmy na ulicy. Oddaj nam to natychmiast, bo to nasza własność, ty impertynencka żebraczko!

Długo tłumiona złość Zuzi teraz znalazła ujście. Zuzia chwyciła obydwa bachory i zaczęła je tłuc niemiłosiernie.

Dzieci początkowo osłupiały zaskoczone niespodzianą śmiałością Zuzi. Po chwili jednak Herta ochłonęła i zaczęła wołać z całego gardła:

— Pali się! Pali się! Pali się!

Mały Georg naturalnie natychmiast poszedł za jej przykładem.

Służba przybiegła z kuchni, a kucharka przyniosła już z sobą na wszelki wypadek konewkę wody.

— Gdzie się pali? — spytała sapiąc.

Zuzia nie przerywała swej pożytecznej czynności i okładając razami niegrzeczne bachory, opowiadała służbie co się stało. Nikt z całej służby nie ruszył palcem w obronie nieznośnych bębnów, których dokuczliwość wszystkim w całym domu dała się we znaki. Owszem, w duchu jeszcze cieszyli się wszyscy, że je wreszcie spotkała dawno zasłużona kara.

Wtem pani Kotskin wpadła na Zuzię.

Wróciła przed chwilą z wizyty i zwabiona hałasem, weszła do pokoju dziecinnego.

Widząc co się dzieje, rzuciła się na Zuzię, chwyciła ją za włosy i zaczęła bić po twarzy.

Ale Zuzi było już wszystko jedno i oddała swej pani z procentem każde uderzenie.

— Co!? — wołała z oburzeniem Zuzia wy nędzna hołoto murzyńska. Naprzód kradniecie, a potem jeszcze chcecie bić porządnych ludzi?

— My nie kradliśmy — wyły dzieci — ona kłamie.

— Chodźcie mi na pomoc! — krzyczała pani Kotskin do służby. Ale cała służba skryła się już do przyległego pokoju i stamtąd przypatrywała się z zajęciem ucieszonemu widowisku.

— Z domu każę was wyrzucić — pieniła się pani Kotskin.

— Ja pójdę sama! — odpowiedziała Zuzia — tylko pieniądze swoje chcę dostać, co mi się należą! Za służbę, za pociętą suknię i za stłuczony pierścień.

— Ani centa nie dostaniesz — odpowiedziała pani Kotskin — jeszcze cię każę zamknąć.

Służba w drugim pokoju zaczęła szemrać niezadowolona.

— Pani pierwsza zaczęła bić — rzekła wysuwając się naprzód kucharka, jako najodpowiedniejsza.

— Czy to nie wstyd bić kobietę w poważnym stanie? — poparła ją praczka — jeżeli to jej zaszkodziło ,to co wtedy ?

— Jeżeli pani Zuzi nie zapłaci, to my wszystkie podziękujemy za służbę! zawołała energicznie kucharka.

— I niech jej pani zapłaci za suknię i za pierścionek — odparła pokojówka, a inne potakiwały żywo.

— Tego mi jeszcze brakowało? — zawołała pani Kotskin — żeby mi służba dyktowała co mam robić!

— Naturalnie, że panią służba nic nie obchodzi! — zawołała kucharka oburzona — niech nam pani zapłaci, co nam pani winna za ostatnie dwa miesiące, a możemy sobie pójść wszystkie.

Do tego trzeba dodać, że w Ameryce służbie płaci się tygodniowo.

Pani Kotskin była w wielkim kłopocie, bo nie miała ani centa.

— Pójdziemy do kantoru do pana po pieniądze — zaczęła znowu kucharka — ale naprzód pozamykamy nasze kufry, bo ktoś nam włoży do kufrów rzeczy naszej pani, a potem nas oskarżą o kradzież.

Pani Kotskin nie chciała dopuścić do tego, żeby nagle pozostać bez służby, a wcale już nie życzyła sobie tego, żeby mąż jej był wtajemniczony w sprawy gospodarskie, nie bardzo czyste.

— Czego ten cały lament — rzekła, poprawiając fryzurę — ja jej zapłacę. Zapodziałam gdzieś klucz od mojej kasetki, pójdę do męża po pieniądze.

— A niech pani dobrodziejka weźmie i moje pieniądze, bo ja wymówiłam pani jeszcze ośm dni temu.

Pani Kotskin poszła do męża.

Tymczasem Zuzia pakowała swoje rzeczy.

— Co wy teraz zrobicie? — pytała ze współczuciem kucharka.

— Nie wiem jeszcze — odrzekła Zuzia smutna — takiego drugiego miejsca nie chcę. Muszę sobie szukać innego zajęcia.

— Wiecie co? — rzekła na to praczka — ja sobie zakładam pralnię. Może pójdziecie do mnie. W tym stanie nie możecie dużo pracować, ale za to nie każecie sobie dużo płacić. Jakoś się pogodzimy. Zgoda?

Zuzia z wdzięcznością przyjęła propozycję, która znowu na jakiś czas chroniła ją od nędzy.

Niebawem wróciła pani Kotskin z pieniędzmi.

Nie mogła się jednak obejść bez niskiej zemsty i przyprowadziła policjanta, żeby przeszukał rzeczy Zuzi, co wywołało oburzenie całej służby.

— Moje rzeczy można przeszukać — rzekła spokojnie Zuzia i wyjmując jedno po drugim ze swego kufra, opowiedziała policjantowi wszystko, co tylko ją tu spotkało.

— Proszę pani — rzekł policjant — nic nie znaleźliśmy, coby do pani należało. Widzę, że nie pani, ale jej się coś będzie należeć.

— Niech mnie skarży! — wściekała się pani Kotskin — ja zapłacę jej pensję, ale prócz tego ani centa nie dam dobrowolnie.

— Pani się nie wzbogaci moimi pieniędzmi — odpowiedziała Zuzia z godnością — a ja nie zbiednieję.

Wzięła zapłatę i pożegnawszy się ze służbą, poszła z praczką z domu, w którym tyle znosiła.

Pakunki zostawiły u piekarza i poszły szukać mieszkania.

Gdy znalazły mieszkanie i wynajęły, odebrały swe rzeczy od piekarza i zostawiły dla kucharki Kotskinów swój adres.

Potem poszły kupować meble. Praczka miała sumę zaoszczędzoną powyżej stu dolarów. Nazajutrz były już urządzone, a praczka wybrała się w drogę po hotelach szukać roboty, której znalazło się po uszy.

Zuzia pracowała jak nigdy przez cały dzień nad balią, a wieczorem szyła malutkie koszulki z taniego płótna, które jej praczka przykroiła.

Nieraz robotę swoją zlewała rzęsistymi łzami.

— Czego tak płaczecie? — pytała przyjaciółka.

— Ja tak za mężem — szlochała Zuzia.

— To po co było od niego uciekać, żeby potem płakać za nim — perswadowała praczka.

— Ja jego niewartam! — wykrztusiła wśród łez Zuzia — ja jestem niesumienna i nieuczciwa.

— Jak wam tak żal za nim — radziła praczka — to wróćcie do niego. On wam to przebaczy, jak będzie widział waszą skruchę.

Rumieniec wstydu wystąpił na bladą twarz Zuzi.

— Ja się nie zdobędę na tyle odwagi — jęknęła.

— Dajcie mi jego adres. Ja do niego napiszę i on z pewnością zrobi pierwszy krok do zgody.

Ale Zuzia nie dała się namówić.

— Nie, nie — wołała płacząc — ja nie warta nawet tego, żeby on mnie nogami kopał! On mną będzie pogardzał teraz. On mnie kochał tylko dla mojej piękności, z której teraz ani śladu, nie dla jakichś zalet, bo nie miałam żadnych.



Stocznia niemiecka w Hamburgu zbudowała statek, który na czele licznej floty wielorybniczej wyruszy niebawem na morze celem połowu wielorybów. Statek o 22.000 ton wyporności przedstawia nasze zdjęcie.

Teraz jestem brzydka jak straszydło, chora i zaawanturowana. Wykradłam się od niego oszustwem — splamiłam honor jego — jakże mi teraz do niego wracać!...

Ach, Zuzio! Gdybyś ty więcej ufała jego miłości! Gdybyś pokornie przyznała się do winy, on by ci przebaczył! A tak, ty się zamęczasz pracą, a tam, w cichej farmie, leżą niezmierzonej wartości skarby. Ty spędzasz tu bezsenne noce, a tam całymi nocami pali się w samotnym domku lampa, żeby ci w ciemną noc wskazać drogę do domu.

ROZDZIAŁ CCII

Pani Hai także przysięgała, że nigdy już nie przestąpi progu Spillerowej.

Ale nie upłynęła jeszcze godzina od czasu, kiedy stamtąd wyszła, a już myśl o niektórych planach Teobalda skłoniły ją do powrotu w ten dom.

Pani Spiller otworzyła drzwi sama.

Była zapłakana i zdziwiła się zobaczywszy kto przyszedł.

— A! to niespodziewana przyjemność dla mnie, kochana Selmo! — rzekła widocznie dotknięta. — Poszłaś tak prędko, że obawiałam się już, żem cię czymś rozgniewała!

— Jak możesz tak mówić, kochana Agato! — odpowiedziała pani Hai. — My przecież zawsze pozostajemy najlepszymi przyjaciółmi. Wróciłam, ponieważ zgubiłam u ciebie kluczyk od szafy z bielizną. W tej szafie są wszystkie inne klucze, tak, że bez tego jednego kluczyka nie mogę kroku zrobić w domu. Musiałam go wyciągnąć z chusteczką do nosa. Nie słyszałyśmy jak upadał, bo prawdopodobnie upadł na miękki dywan.

Pani Spiller domyśliła się natychmiast, że to kłamstwo, ale nie zdradzała się z tym.

— Proszę bliżej — rzekła słodziutko — poszukamy, wprawdzie pan markiz jest w salonie, ale on tobie zawdzięcza tyle, że się ucieszy twoim widokiem.

Pani Selma Hai weszła i usłyszała głosy dolatujące z salonu.

— Kto tam jest jeszcze? — spytała.

— Cyla — odpowiedziała spokojnie pani Spiller.

Pani Hai było to nie w smak, bo Cyla mogła markizowi zdradzić pochodzenie Idy.

Udała więc cnotliwe oburzenie.

— Bój się Boga, Agato! — zawołała — myślałam, że jesteś ostrożniejsza! Pozwalasz jej bawić w pokoju kawalera — wieczorem — sam na sam?!

— A przecie twoja Ida całe noce przy nim spędzała! — odpowiedziała pani Spiller z irytacją.

— To co innego! — odparła aptekarzowa — nie wszystkim to uchodzi.

— W czemże twoja Ida jest lepsza od mojej Cyli, żeby była wyższa ponad podejrzenia, a moja Cyla nie!? — zawołała oburzona pani Spiller.

— Nie zrozumiałaś mnie — uspokoiła się Haiowa — nie to chciałam powiedzieć. Cyla, widzisz, jest o wiele ładniejsza, niż Ida, i dlatego jest to niebezpieczne!

— No, twojej Idzie jednak niemało pokus losy nie szczędzą! — odpowiedziała z ironią Spillerowa. — Cyla widziała ją jadącą w bardzo eleganckich saniach.

Aptekarzowa nie mogła powstrzymać okrzyku wściekłości.

— Co!? — zawołała — ona jeździ sobie na spacer!?

Zaczęła przezwiskami obsypywać Idę i wygadywać na nią niestworzone rzeczy, a Spillerowa dogadywała jeszcze, dolewając oliwy do ognia.

Ale złość pani Hai zaczęła się zwracać przeciwko Cyli.

— Czegóż to bezmyślne stworzenie nie wpadło na ten dowcip, żeby ją zatrzymać!? — złościła się — Powinna była natychmiast zawołać policjanta i sprowadzić ją do domu. To rozumiem! Byłaby pokazała, że nie jest głupia!

— Ależ moja kochana! — usprawiedliwiała Spillerowa córkę! — to nie tak łatwo, jak ci się zdaje. Zanim ona się opamiętała, same znikły jej z oczu. Z początku ledwie ją poznała, tak była elegancko ubrana. Ona musi mieć jakiegoś bardzo bogatego kochanka.



Na zdjęciu lotnicy japońscy w Szanghaju otrzymują instrukcje przed wyruszeniem eskadr powietrznych na front bojowy.

Jak wiemy, elegancja ta istniała tylko w fantazji pani Spiller.

Ale pani Hai nie posiadała się ze złości.

— Taka ona!? — wrzeszczała — to tak zawsze! Im człowiek gorszy, tym większe ma szczęście!

Spillerowa miała ogromną satysfakcję, że się jej — przyjaciółka — tak irytuje.

— Cyla ci wszystko opowie — rzekła — przedtem nie mogła — wobec gości. Bullmanowie byliby triumfowali, że to się tobie właśnie przytrafiło, że wychowanka twego, tak pobożnego domu, upadła tak nisko!

Pani Hai zgrzytnęła zębami i zacisnęła pięści.

Za chwilę jak furia wpadła do salonu.

— Czy to prawda, że Ida...!? — zawołała i cała jej wściekłość odbiła się na jej brzydkiej twarzy.

— Tak jest! — odpowiedziała Cyla domyśliwszy się o co chodzi. — Takie eleganckie sanie, lokaj, jaki wystrojony, żeby pani widziała — rozpowiadała z prawdziwą przyjemnością, obserwując wściekłość pani Hai.

Lokaj istniał także tylko w fantazji Cyli, ale tego pani Hai nie mogła wiedzieć i pieniła się z wściekłości.

Markiz dorozumiał się, że chodzi o Idę.

— Pani mówi o pannie Idzie!? — spytał po francusku — pani wie coś o niej? Bardzobym pani był wdzięczny, gdyby mi pani była łaskawa powiedzieć o niej wszystko, co pani wie.

Cyla była dość głupia, żeby sądzić, że oczerniając Idę zbliży się więcej do markiza, którego koniecznie chciała sobie zdobyć. Oszczerstwem chciała ją wysadzić z jego serca i zająć jej miejsce.

To też nie zawahała się ani na chwilę i bez najmniejszych skrupułów zaczęła nie jąkając się, mówić:

— Ach, panie markizie — mówiła, udając żal — to historia taka smutna, że aniołowie w niebie by się zapłakali. Niech pan sobie pomyśli! Ida porzuciła drogę cnoty!

— Proszę pani! — zawołał de Lorme prawie groźnie — niech pani nie oczernia tej czystej istoty!

— Niestety, to nie oszczerstwo! — mówiła Cyla tym samym tonem — widziałam ją w bardzo eleganckich saniach, ubraną w sobolowe futro. Jechała na spacer z jakimś młodym panem, który patrzył na nią czułym wzrokiem.

Pani Hai ginęła z niecierpliwości i ciekawości i upominała Cylę, żeby mówiła po niemiecku, bo ona nie rozumie ani słowa.

Markiz zanadto cenił i poważał Idę, żeby mógł uwierzyć w oszczerstwa.

— Pani musiała się pomylić — rzekł spokojnie — to musiał być ktoś inny.

— Nie, nie! — zaprzeczyła żywo Cyla — wprawdzie ona miała na sobie gęstą woalkę, ale mimo to poznałam ją! Przecie chyba uwierzy pan, panie markizie, że się nie pomylę co do osoby, z którą siedziałam na ławie szkolnej! To z pewnością ona!

— W takim razie to musiał być jej krewny — rzekł spokojnie de Lorme.

— Krewny!? — zaśmiała się Cyla — ona nie miała żadnych krewnych. Matka jej była Francuzką, ojciec stracił bliższe rodzeństwo podczas epidemii. Ida osierocona przez rodziców, nie miała żadnych krewnych i dlatego Haiowie zajęli się nią!

— Język bym jej wydarła, myślała sobie po chrześcijańsku bogobojna pani Hai, która wyskakiwała ze skóry z ciekawości i niepokoju, co oni mówią o Idzie.

Zwróciła się do Spillerowej.

— Twoja Cyla tak poufale rozmawia z markizem — ja na twoim miejscu nie pozwoliłabym na to.

— Mój Boże! — odpowiedziała pani Spiller urażona — chyba rozmawiać jej wolno z nim i to jeszcze do tego w obecności takich dwu stróżów moralności jak ja i ty. Ale zdaje mi się, chciałaś szukać kluczyka?

— Spytaj się lepiej Cyli, co ona tam tyle mówi o Idzie! — rzekła z tłumioną złością pani Hai.

Właśnie w tej chwili Cyla dokładnie opowiadała markizowi o pochodzeniu Idy.

Była to scena godna pędzla malarza.

Markiz wycieńczony podróżą i wzruszeniami, opierał się ciężko o poręcz fotelu, blady był, jak śmierć, oczy tylko gorzały mu dziwnym ogniem.

Przed nim Cyla, świeża i urocza, z żywymi gestami opowiadała mu, co wiedziała.

Z jednej strony dziewczyny pani Hai zagadywała coś namiętnie, czego Cyla ani słuchała, z drugiej pani Spillerowa po przez córkę z obliczem, w którym przebijała się tłumiona złość, nastawała na przyjaciółkę.

Dwie te stare baby, jedna złośliwa i wściekła, druga złośliwa i uradowana, same dla siebie stanowiły ciekawy obraz, odbijający od tych dwojga młodych.

— Jużeś mu dość nablagowała? — zapytała pani Hai złośliwie.

— Skąd pani wie, że blaguję? — odparła z ironiczną wyższością Cyla — przecież pani nie rozumie ani słowa po francusku.

— Nie masz się czym tak bardzo chwalić — mówiła pani Hai — za to ja umiem wiele innych rzeczy, o których ty nie masz pojęcia.

— Naturalnie — odpowiedziała Cyla z obrażającym niedbalstwem, dziwnie odbijającym od tej słodkiej uprzejmości, z którą się odnosiła do niej dawniej, gdy miała parol zagięty na Teobalda.

Uprzejmość ta teraz, zdaniem jej, była już niepotrzebna, bo miała nadzieję, że niebawem zostanie panią markizową. To też patrzyła z góry na przyjaciółkę matki.

Aptekarzowa sama się zdziwiła tą niespodziewaną wyższością.

— Czegóż ona tak zadziera nosa — zapytała — za moich czasów panienki młode bywały skromne. Teraz widzę, filozofują, jak stare szkapy.

— Tak? — spytała Cyla ironicznie — nie wiedziałam o tym i dziękuję pani za tę zajmującą naukę. Dziwi mnie tylko, że pani cudowny sposób wychowania tak panią zawiódł na Idzie!

(Ciąg dalszy w następnym numerze)

CHWILA ZASTANOWIENIA

KONIKÓWKA

ułoż. Witold Mataczyński — Łysinin.

Na	trze	Mą	i	da
słu	pi	co	bu	dry
po	dy,	cha	wać	tak
głu	u	dziom	jej	je
ra	nie	a	nie	lu

Ruchem konika szachowego odczytać znaną sentencję.

DOMYŚLANKA

pod. M. Z.

U..my si. sz... w.. m..e g..z.n. ży..., b. z n..h u...t..ą d. i i l..a.

Odczytać myśl świetnego pisarza Maeterlincka.

Za rozwiązanie powyższych zadań redakcja wyznacza nagrody w postaci książek.

Rozwiązania należy nadsyłać do środy, 13 października br.

Rozwiązanie zadań z numeru 39 „Moich PoMwieści": Logogryf: „Moje Powieści". Bilety wizytowe: 1) „Solidny Ślązak", 2) „Zagłoba — Wielkopolanin", 3) „Królowa Gizella".

Trafne rozwiązania nadesłali p. p.: Bultrowicz Wacław — Gniezno, Jacyna Artur — Warszawa, Hodzierski Jan — Grudziądz, Masłowski Józef — Poznań, Góral Wacław — Katowice.

Nagrody w drodze losowania przypadły p. p.: Bultrowiczowi z Gniezna i Masłowskiemu z Poznania.

ADAM CZEKALSKI

2)

Milion w złocie

POWIEŚĆ

I.

NOC GROZY

— Przykre — nie chyba, raczej obezwładniające, wrażenie lęku, bojaźni czy czegoś podobnego. W każdym razie wrażenia takiego doznałam ja, gdy spojrzał na mnie.

— Tak, tak, uczułam przedziwną jakąś trwogę przed tym człowiekiem. Borowicz, Borowicz... pierwszy raz słyszę podobne nazwisko w Łodzi, podobne nazwisko lekarza naturalnie... No, ale cóż ów pan Borowicz?

— Wyobraź sobie, że dokonał szegoś, co wprowadziło mnie w prawdziwe osłupienie: wystarczyło mu kilka minut popatrzeć na ciebie, czy też dokonać jakichś sobie jedynie znanych zabiegów, aby po sino-krwawych pręgach na twojej szyi nawet ślad nie został. Spójrz w lustro, a sama przekonasz się.

Pani Krupińska podała córce małe zwierciadło i Lila istotnie mogła stwierdzić, iż na jej szyi nie ma absolutnie żadnego śladu jakichkolwiek plam. Szyja ta była tak samo idealnie biała i gładka, jak wczoraj przed balem.

— To dziwne — szepnęła — coś mi się niby zmora majaczy po mózgu, jak gdyby działo się coś ze mną, że istotnie upadłam z omdlenia, ale nie jestem w stanie przypomnieć sobie nic zgoła, co działo się dalej.

— To było straszne!

— Co, mamo?

— Ten twój krzyk wprost śmiertelny.

Lila zamyśliła się na moment i jakiś cień przemknął przez jej piękną twarzyczkę, cień jakby grozy czy lęku.

— Nic nie rozumiem — odrzekła następnie w zamyśleniu — nic nie rozumiem. Więc powiadasz, że krzyczałam, że drzwi były do twojego pokoju zamknięte, że omdlałam, że był policjant i jakiś lekarz, który nazwał się Borowiczem?

— Nie myśl o tym wszystkim, dziecko, a może przejdzie to samo przez się i nigdy już więcej się nie powtórzy.

Lila znowu popadła w zadumę, która tym razem trwała u niej bardzo długo. Wyrazista i wielemówiąca jej twarz mieniła się najprzeróżniejszymi odcieniami myśli, które nurtowały ją. W końcu otrząsnęła się z zamyślenia, jak gdyby powracała do rzeczywistości z jakiejś bardzo dalekiej wędrówki myślowej i rzekła:

— Wiesz mamo, co to wszystko mogło być?

Pani Krupińska podniosła ciekawe oczy na córkę.

— To musiał być po prostu bardzo przykry sen. Gdzieś czytałam w swoim czasie o podobnym wypadku. Nie był on identycznym z tym, co ty mi opowiadasz, ale w każdym razie był bardzo podobny. — Pewna młoda dziewczyna miewała prawie conocne sny z rodzaju snów makabrycznych, w których przeżywała najokrutniejsze i najwymyślniejsze nieraz tortury. Ale najważniejszym w tym wszystkim było to, że przeżywane przez ową dziewczynę męki senne pozostawiały po sobie wyraźne i cielesne ślady. Czy nie uważasz, mamo, że i w danym wypadku ze mną mogło zajść coś podobnego?

— Możliwe, ale... przeżyłaś na świecie już przeszło lat dwadzieścia, a nigdy dotąd nie zdarzyło się nic podobnego.



Miły obrazek z sezonu polowań.

— Muszę się koniecznie poradzić kogoś ze znaczniejszych i mądrzejszych lekarzy łódzkich. Ciekawam, co on o tym wszystkim powie.

— Tak, trzeba się kogoś poradzić.

— No, a teraz odwrócę się na drugi bok i zasnę jeszcze na dwie - trzy godziny, bo czuję się zmęczona po całonocnym balowaniu.

— Zatem dobranoc, córuś.

— Dobranoc, matuś.

— Gdybyś co potrzebowała, zadzwoń na Marysię, bo ja także chcę zdrzemnąć się jeszcze po tej strasznej i pełnej grozy nocy.

II

DAWNO UMARŁA PRZESZŁOŚĆ

Pani Ewa Krupińska poszła do swojego pokoju, ale bynajmniej nie po to, jak to powiedziała córce, aby położyć się do łóżka, lecz by w samotności i ciszy rozważyć ten straszliwy wypadek dzisiejszej nocy, tym straszniejszy, bo tajemniczy, który dreszczem grozy wstrząsał wciąż jej ciałem, gdy go wspominała. Była przekonana, że tym razem nie może być mowy o przewidzeniu, nie może być mowy o histerii, ani o nerwach. Ona sama przecież nigdy w swoim życiu nie podlegała rozstrojowi nerwowemu, nigdy i niczym nie dała się ponieść tam, gdzie bezkarnie hasał szatan histerii, ale przeciwnie, znana była powszechnie z zimnego i trzeźwego sądu i stanowczości prawie męskiej.

Jeszcze w okresie swojej najpiękniejszej i najbardziej rozwiniętej młodości, urodziwa Ewa Szembek wyszła za mąż za przemysłowca łódzkiego, wprawdzie nie za gwiazdę pierwszej wielkości w konstelacji przemysłu włókienniczego, ale za człowieka bądź co bądź dość zamożnego, którego kochała całą głębią swojego młodego i czystego serduszka i wzajem przez niego kochaną była. Zdawało jej się wtedy, że do ich przytulnego i z komfortem urządzonego mieszkanka weszło słońce szczęścia i ozłociło ich wspólną dolę. Mąż wprawdzie pracował całymi dniami w kantorze nie wiele czasu poświęcać mógł swojej umiłowanej Ewuni, ale ona nie skarżyła się nigdy na to. Tak snać musiało być, skoro tak było. Trudno. W życiu wszystko musi być w miarę, ażeby nie było przesytu.

Działo się to na parę miesięcy przed wojną japońsko - rosyjską. Gdy wojna wybuchła, pan Stanisław Krupiński coraz rzadszym gościem bywał w domu. Przemysł włókienniczy miał swój wspaniały sezon, konkurencja była liczna, należało przeto strzec pilnie swoich rynków, aby setki tysięcy metrów wyprodukowanych materiałów mogły na czas zdążyć do potrzebujących ich konsumentów. Fabryczka Krupińskiego, choć niewielka i nie obliczona na światową produkcję, wytwarzała jednak dzień w dzień takie ilości materiałów, że mogły one przynieść znaczne zyski i zapewnić dostatnie utrzymanie nie tylko dla dwojga, ale nawet dla kilkunastu i nawet bardzo wymagających osób.

Nagle w trakcie największego nawału pracy i interesów Krupiński został powołany do wojska. Nie pomogły protekcje, starania na lewo i na prawo, poparte znacznymi datkami pieniężnymi, nie pomogły zabiegi u najwpływowszych osób ówczesnej przedwojennej Łodzi, wyrok dla Krupińskiego był nieodwołalny: w takim to i takim dniu „Stanisław Ignatowicz Krupiński winien stawić się tu i tu w celu udania się na front na Daleki Wschód". Mógł wprawdzie Krupiński z całą swobodą wyjechać za granicę, tam przeczekać zawieruchę, a potem wrócić i dalej prowadzić swoje interesy, ale nie chciał. Jednakże musiał wtajemniczyć żonę w swoje troski i kłopoty i zapewnić jej godziwe utrzymanie podczas swojej wojaczki w Chinach dla obcej i znienawidzonej agentury. Jakoż pewnego dnia Krupiński przyjechał wcześniej niż zwykle do swego przytulnego i zacisznego domku, aby w tych sprawach naradzić się z Ewunią. Zastał ją w obszernym salonie w to-



Ciężkie młoty biją w żelazo — wykuwają hart i myśli...

warzystwie dwóch krawcowych, które szyły pod jej okiem wyprawę dla małego nowego obywatela Łodzi, który dopiero za dwa tygodnie miał przyjść na ten piękny świat zgrzytania zębami. Pan Stanisław zawahał się w pierwszej chwili i postanowił nie mówić żonie prawdy — przynajmniej chwilowo. Dwa tygodnie czasu, do dnia rozwiązania, mógł w każdym razie zawsze wytargać od miejscowych władz wojskowych. Ale pani Ewunia, jak każda prawdziwie kochająca niewiasta, wyczuła raczej niż spostrzegła troskę Stasia i podeszła do niego, pytając o przyczynę.

— Ach, nic nadzwyczajnego — próbował wykręcić się od odpowiedzi Krupiński.

— Tobie coś jest, Stasiu?

— Mylisz się, kochanie — uśmiechnął się niewyraźnie mąż i na czole Ewuni złożył pocałunek. Jednakże kochające serce żony nie poprzestało na tym tłumaczeniu. Pani Ewa ujęła męża pod ramię i zaprowadziła go do gabinetu, posadziła na miękkim fotelu klubowym i wtedy raz jeszcze zapytała:

— Dlaczego nie chcesz mi powiedzieć prawdy, Stasiu? Czy tak mało mi ufasz? Krupiński spojrzał z wyrzutem na żonę.

— Gdybym tobie nie ufał, to nie miałbym nikogo na świecie, komu więcej mógłbym ufać — odrzekł miękko. Ale widzisz, najmilsza są pewne sprawy, których...

— Obawiasz się dla mnie z uwagi na mój stan, czy tak?

— No nie...

— Stasiu, nie poznaję cię. Krzywdzisz mnie, skrywając przede mną to, co ciebie boli i troska. Powiedz, kochanie, a ja zapewniam cię, że największy cios mężnie zniosę i nie dam unieść się wzruszeniu.

Mąż wahał się jeszcze, zastanawiał, rozważał chwil kilka, ale przyparty w końcu do muru przez żonę, powiedział jej prawdę.

— Za dwa dni muszę wyjechać na Daleki Wschód — rzekł.

— I tego nie chciałeś mi zdradzić?

— Ale bo... widzisz, najmilsza, ten mój obecny wyjazd nie jest całkiem własnowolny i nie w interesach naszej fabryki, ale...

— Ale co?

— Ale pod przymusem... poprostu jestem powołany do wojska i muszę jechać na teren wojny w Chinach.

Pani Ewa doznała bolesnego ukłucia gdzieś pod sercem, ale wspomniawszy, że nie jest sama, że musi dbać także i o tę istotę, która niedługo miała przyjść na świat, opanowała wzruszenie i pogładziwszy męża po czuprywnie, ucałowała go w czoło. A on powstał szybko, wziął żonę za ręce i spojrzał jej głęboko w szafirowe oczy, w których szkliły się łzy.

— Ewuś, ty płaczesz?

— Ach, co znowu — odrzekła drżącym głosem, a bródka drżała jej nerwowo i dwie srebrzyste łzy zawisły na czarnych długich rzęsach, błyszcząc, jak dwie krople rosy zawieszone na źdźbłach trawy.

— Ależ ty płaczesz, kochanie!

Pani Ewunia ukryła głowę na piersi męża i zdobywszy się na nadludzki wprost w jej warunkach wysiłek, odrzekła na ogół dość spokojnie.

— To straszne, ale... gdy nieuniknione... — i załkała cichutko nie chcąc bardziej jeszcze martwić zgnębionego męża.

Pan Stanisław nie na to nie odrzekł, nie chciał się skarżyć, aby i tak przygnębionej żonie nie dodawać więcej żalu, który przy jej stanie mógł być zabójczym. Przeciwnie nawet, zaczął dowcipkować i opowiadać wesołe dykteryjki, pragnąc rozproszyć bolesną chmurę, która zebrała się nad ich tak bardzo szczęśliwym dotychczasowym pożyciem i groziła piorunnymi strzałami.

W ciągu dwóch pozostałych mu do odjazdu dni na Daleki Wschód, pan Stanisław załatwiał sprawy majątkowe, pragnąc pozostawić je w najlepszym porządku, aby żona miała chęć prowadzenia dalej dzieła męża podczas jego nieobecności.

— Jak to — ty chcesz, kochanie, zajmować się sprawami fabryki? — zdziwił się mąż, nie mogąc zrozumieć, skąd nagle zrodziła się w główce jego pięknej żonki taka myśl.

— A czemużby nie? Czy sądzisz mnie być niezdolną do takich dzieł?

— To nie, ale widzisz... jakoś w głowie nie chce mi się to pomieścić.

— Jesteś zdania, mój chłopczyku, że potomkowie starych rodów szlacheckich tak bardzo przesiąkli wstrętem dawnej szlachty do łokcia i miary, że pozostałość ta jest największym brakiem w ich zdolnościach handlowo - przemysłowych?

— Ależ...

— Nie przecz, bo tak jest.

— Nie i postokroć nie. Gdyby nawet tak było, to ty zawsze będziesz najśliczniejszym moim wyjątkiem w tym wypadku.

— Otóż tak, ja właśnie chcę być tym wyjątkiem, który zaprzeczy prawdziwości zasady i przekonasz się, gdy wrócisz do nas... że zasłużę sobie na pochwałę u ciebie.

— Najmilsza moja, najukochańszy wyjątku...

Pan Stanisław przygarnął się do kochanych rączyn żoninych, wyrażając tym sposobem swoją wdzięczność i radość i całkowite zaufanie.

Przez pozostałe do wyjazdu dwa dni pan Stanisław załatwił sprawę wszelkich pełnomocnictw dla żony i żegnany łzami serdecznymi żony, krewnych i przyjaciół, pojechał na Daleki Wschód.

W przeciągu pierwszych miesięcy wojaczki, pan Stanisław pisywał regularnie co tydzień obszerny list do domu, opisując wszystkie swoje dole i niedole, wszelkie blaski i nędze tułaczego życia we wrogiej sobie armii i ciesząc się jak dziecko najbłahszymi nawet wiadomościami, które przychodziły do niego w podobnie regularnych listach z domu. Ale po ośmiu miesiącach tułaczki na dalekich polach chińkich listy zaczęły stawać się coraz rzadsze, coraz większym tchnące pesymizmem, aż w końcu ustały zupełnie. Mijały tygodnie, mijały miesiące, później lata, wojna dawno się skończyła, a po Krupińskim wszelki ślad zaginął. Czy żył? Czy dawno może podzielił wspólną mogiłę z tysiącami bezkarnie i bezsensownie mordowanych żołnierzy białego cara? A może dostał się do niewoli do rycerskich Japończyków? Może wróci? Na te pytania nie było długie — długie lata żadnej odpowiedzi. Pani Ewa, ująwszy ster władzy w fabryce w swoje ręce, odpowiedziała godnie swojej nazwie wyjątku. Zgoła nie niewieścia natura siedziała w tej kobiecie. Opanowana, energiczna, pełna pomysłów nadzwyczaj realnych i życiowych, w ciągu lat kilku swojej niepodzielnej władzy w fabryce, doprowadziła do kwitnącego stanu i z tej strony swojego życia mogłaby się nazwać szczęśliwą. Niestety, jakże daleką była ona jednak od stanu choćby tylko prostego zadowolenia. Pani Ewa wciąż wierzyła, że jeśli Staś żyje gdzieś tam, choćby na krańcu świata — wróci kiedyś do niej. Wierzyła i czekała całymi latami. Przyszła wojna świa-

towa, maleńka Alicja, która nigdy na własne swoje oczka nie widziała ojca, miała już lat ośm, wyrastała na piękne dziewczątko, pełne powabu i czaru pachnącego kwiatu. Słusznie spodziewać się można było, iż z dziecka tego wyrośnie z czasem kobieta o wspaniałej krasie, która olśniewać będzie wszystkich mężczyzn ,czułych na piękno. Sprawy materialne znacznie się pogorszyły, gdyż wojna światowa, jak każda zresztą wojna, nie znała litości ni względów. Ale jakoś przetrwały obie z matką i te najcięższe okresy niedostatku i nieraz nawet nędzy. Gdyby nie brat pani Ewy Jacek, gdyby nie pomoc rodziny, pewnie ta ich nędza z okresu wojny światowej stałaby się bardzo przykrą i bolesną, na szczęście ten kielich goryczy odsunięty został od ich ust. Nieraz teraz Jacek nakłaniał siostrę, ażeby opuściła Łódź i przeniosła się do niego na wieś, gdzie i o kawałek chleba łatwiej i spokój pewniejszy, ale pani Ewa odpowiedziała zawsze nieodmiennie:

— Nie mogę ani na krok ruszyć się stąd, kochany Jacusiu, bo i tak Szwaby dość mi w fabryce nakradli. Gdyby mnie nie stało, pewnie i kamienia jednego nie zostałoby z mojej fabryki. A poza tym... czekam na Stasia... jeśli żyje, na pewno powróci do Łodzi, a wtedy cóżbym mu powiedziała, gdyby wszystko legło w ruinie? A przecież obiecałam mu, że będę wyjątkiem wśród innych kobiet mojej sfery.

— Ty wciąż czekasz, Ewuś? — pytał z żalem w głosie pan Jacek.

— Do skonu będę czekała, Jacusiu, takie moje prawo moralne.

— Ależ Stach pewnie dawno już nie żyje...

— Żyje, czy nie — nie wiem. Gdyby nie żył, dawno już o tym byliby mnie zawiadomili, jak zawiadamiali innych.

Pan Jacek spuścił głowę na pierś i milczał, ale już więcej nie poruszył tego tematu w rozmowie z siostrą. Chcąc jednak dać im obu odczuć serdeczność braterską, każdego tygodnia przysyłał pełen wóz wiktuałów wiejskich, a prawo dostarczenia których musiał nieraz staczać wprost homeryckie boje z okupantami niemieckimi i dbałość swoją o wygodę siostry i siostrzenicy posuwał do najczulszej nieraz opieki, do najczulszych zabiegów o ich beztroskliwość.

Tak biegły lata za latami i wszystko było spokojnie, aż naraz ten wypadek dzisiejszy, tak wielkiej, jak sama była opojęty i nie do wiary. Pani Ewa nie wiedziała co o tym myśleć.

Przesiedziała tak na rozmyślaniach do godziny dziewiątej rano, a gdy posłyszała, że Lila wstała i beztrosko nuci jakąś swawolną piosenkę w swoim pokoju, poszła do niej.

— Cieszę się, Liluś, że ubiegła noc nie pozostawiła po sobie przykrości na dzień dzisiejszy ,tak wielkiej, jak sama była okropna.

— Ach, mamo, czuję się znakomicie i zgoła uwierzyć nie mogę, aby to wszystko, co mi powiedziałaś przed paru godzinami, mogło być prawdą.

— Patrząc na ciebie, dziecko, ja sama zaczynam powątpiewać, czy wszystko to, co się wydarzyło, nie jest tylko bardzo przykrym snem i niczym więcej.

— Wierz mi, mamuś, że to był tylko sen. Obie byłyśmy przemęczone całonocnym prawie balowaniem, cóż dziwnego, że zasnąwszy, doznałyśmy tak przykrych uczuć, jak gdybym ja była przez jakiegoś nieznajomego prześladowana, a ty — chciałaś mnie bronić przed prześladowcą.

— Daj Boże, żeby podobny sen nie powtórzył się więcej.

Lila zadzwoniła na służącą i kazała sobie podać ciepłej wody.

— Och, to panienka już zupełnie zdrowa i wcale nie ma śladu na szyi — zadziwiła się Marysia.

— A czyż to ja byłam chora?

— Ach i jeszcze jak panienka była chora.

Matka i córka spojrzały na siebie dziwnym wzrokiem, ale nic nie rzekły.

Dzień ten minął spokojnie i bez żadnych szczegółów wydarzeń. Tragiczna noc, pełna lęku i grozy, zdawała się być snem i tylko snem. Ale siódmej nocy znowu wydarzyło się coś takiego, od czego naprawdę można było rozum stracić.

III.

JA WOLĘ TWOJĄ UJARZMIĘ...

Pewnego dnia Lila wybrała się na „fife" do kawiarni George'a, gdzie spotkała się z paru przyjaciółmi i wszyscy razem zasiedli przy jednym stoliku. Było to towarzystwo mieszane młodych ludzi, które pijąc małymi łykami sakramentalne „pół czarnej", dowcipkowało i plotkowało beztrosko na rachunek innych osób, zapełniających obszerną salę kawiarnianą. W pewnym momencie wzrok Lili spotkał się zupełnie nieoczekiwanie ze wzrokiem mężczyzny, siedzącego samotnie w kącie sali. Mężczyzną tym był doktor Borowicz. Siedząc pochylony nad stolikiem wpatrywał się w Lilę takim wzrokiem, który nie tylko ona czuła na sobie, ale pod jego wpływem doznała bardzo przykrych uczuć. Jednym z takich dziwnych uczuć była jak gdyby świadomość przymusu, świadomość skrępowania woli. Lila obawiała się nawet myśleć swobodnie, gdy on na nią patrzył, bo zdawało jej się, że człowiek ten, wciąż jakiś smutny, zamyślony i zadumany, wciąż melancholicznie usposobiony i jakby o sto mil oddalony od chwili obecnej i od miejsca, na którym się w danym momencie znajdował, czyta w jej myślach i sprzeciwia się tym, o czym i jak ona myśli.

Z początku próbowała się opanować, wyrzucić precz z siebie myśli o człowieku, który był jej całkowicie obojętnym i niemal wrogim, chciała znowu stać się tak samo beztroską i wesołą, jaką była jeszcze przed chwilą, ale już nastrój prysnął, a zdenerwowanie wzrastało z chwili na chwilę. W końcu zdenerwowana powstała i zarzuciwszy kołnierz na ramię, zamierzała oddalić się stąd.

— Jak to? — zdziwiły się przyjaciółki. — Już chcesz odejść?

— Mam jeszcze kilka spraw do załatwienia — czas więc, aby odejść.

— Ach, sprawy — zdążysz je załatwić po „fajfie".

— Nie, muszę już teraz zająć się nimi.

Po tych słowach skinęła głową przyjaciółkom i szybkim krokiem zmierzała ku drzwiom. Jednocześnie prawie instynktownie raczej wyczuła niż zobaczyła, że doktor Borowicz powstał i tak samo kieruje się ku drzwiom. Obejrzała się szybko i przekonała się ,że istotnie tak jest. Jakaś chmura przeleciała przez jej twarz. W pierwszej chwili zamierzała zawrócić i pójść spowrotem do stolika. Z tym zamiarem nawet przystanęła przy drzwiach, ale coś silniejszego w niej, niż wola własna, pchnęło ją naprzód. Więc już nie zatrzymując się dłużej, wyszła na ulicę i szybko ruszyła Piotrowską w stronę Placu Wolności .Borowicz poszedł za nią krok w krok i na pierwszym skręcie ulicznym zbliżył się do niej. Uchylił kapelusza i pozdrowił ją.

— Czy pozwoli mi pani towarzyszyć sobie choć parę kroków?

— A, pan Borowicz — zmierzyła go wzrokiem. — Czy pan doktor życzy sobie co ode mnie? Spieszę się do domu, więc nie wiem, czy zdoła pan w ciągu tego czasu powiedzić mi o co chodzi.

(Ciąg dalszy w następnym numerze)



Manewry jesienne armii francuskiej odbywały się w Normandii. Na zdjęciu przeprawa piechoty francuskiej przez rzekę.

Najciekawsze audycje Polskiego Radia w Warszawie

Niedziela, dnia 10 października 1937 r.

8.00 Audycja poranna 8.15 Audycja dla wsi 9.00 Muzyka 11.30 Transmisja nabożeństwa z Katedry w Warszawie; 12.03 Poranek muzyczny; 13.30 Muzyka obiadowa; 14.45 Audycja dla wsi; 15.45 „Wszystkiego po trochu" — audycja dla wsi; 16.05 Koncert solistów; 16.45 „Anielcia i życie" — powieść mówiona; 17.00 Podwieczorek przy mikrofonie; 19.00 „Lekcja deklamacji" — fraszka; 19.35 Nowe płyty słynnych artystów; 22.00 Opowieść o Mozarcie.

Poniedziałek, dnia 11 października 1937 r.

6.15 Audycja poranna; 11.15 Audycja dla szkół; 12.03 Audycja południowa; 15.45 „Z pieśnią po kraju"; 16.15 Koncert rozrywkowy; 17.00 „Bursztyn" — pogadanka: 17.15 Żeleński i jego uczniowie — recital śpiewaczy W. Hendrich; 18.10 Lekka muzyka fortepianowa; 18.35 Audycja dla wsi; 19.00 Audycja strzelecka; 19.30 „Czy dziecku należy pod każdym względem ułatwić życie?"; 20.00 Koncert ze Lwowa; 21.35 Nowości literackie; 21.55 Utwory Beethovena; 22.30 Audycja ku czci Pułaskiego.

Wtorek, dnia 12 października 1937 r.

6.15 Audycja poranna; 11.15 Audycja dla szkół; 11.40 Franciszek Liszt; 12.03 Audycja południowa; 15.45 Rzeczy ciekawe z pięciu części świata — z Poznania; 16.15 Łódzka orkiestra salonowa; 17.15 Koncert solistów — z Katowic; 18.25 Muzyka; 18.35 Audycja dla wsi; 19.00 „Nieśmiertelne książki" — Wieczór I.· 19.35 Audycja konkursowa; 20.00 Wiedeńskie dziewczątka — z Krakowa; 21.00 Opera „Zanetto Wędrowiec"; 22.00 Muzyka taneczna.

Środa, dnia 13 października 1937 r.

6.15 Audycja poranna; 11.15 Audycja dla szkół; 11.40 Claude Debussy: Mała suita; 12.03 Audycja południowa· 15.45 „Chwilka pytań" — pogadanka dla dzieci; 16.00 „Uczmy się mówić"; 16.15 Z twórczości Władysława Żeleńskiego — koncert; 17.00 Tadeusz Kościuszko w 120 rocznicę zgonu; 18.10 Barnaba Geczy i Albert Sandler grają serenady; 18.35 Audycja dla wsi; 19.20 Pieśni ludowe w wykonaniu chóru chłopców szkoły powszechnej nr. 4 w Toruniu: 19.35 „Wartości pozytywne pesymizmu" — odczyt; 20.00 Popularni pieśniarze w produkcjach solowych i zespołowych; 21.00 Koncert chopinowski w wyk. Zbigniewa Drzewieckiego; 21.45 Kwadrans poezji „Piękno mowy polskiej"; 22.00 Koncert popularny w wyk. orkiestry Adama Hermana.

Czwartek, dnia 14 października 1937 r.

6.15 Audycja poranna; 11.15 Poranek muzyczny dla gimnazjów: 11.40 Scherza symfoniczne; 12.03 Audycja południowa; 15.45 Rozmowa muzyka z młodzieżą; 16.15 Melodie popularne w wyk. Lwowskiego Kwartetu Solowego; 17.00 Reportaż z Zakładu Botaniki Ogólnej w Poznaniu; 17.15 Utwory Schumanna na klarnet i altówkę; 18.25 Muzyka; 18.35 Audycja dla wsi; 19.00 „Gość" — Słuchowisko Stefana Balickiego z Poznania; 19.30 Pieśni w wykonaniu Stanisława Pieczory; 20.00 Weseli marynarze — koncert rozrywkowy w wyk. ork. Marynarki Wojennej; 21.00 Koncert symfoniczny poświęcony twórcz. Karola Szymanowskiego.

Piątek, dnia 15 października 1937 r.

6.15 Audycja poranna; 11.15 Audycja dla szkół; 11.40 Ewa Turner śpiewa; 15.45 „Kruk Pipus" — opowiadanie dla dzieci; 16.15 Muzyka salonowa w wyk. kwartetu rozgłośni krakowskiej; 17.00 Obozy wypoczynkowe dla młodzieży pracującej w Austrii — reportaż; 17.15 Lekkie utwory Jana Brahmsa na 4 ręce; 18.10 Dzwony i organy Wurlitzera; 18,35 Audycja dla wsi; 19.00 „Logika serca" — komedia Flersa i Caillaveta; 19.35 Recital śpiewaczy Julii Mechówny; 20.00 „Kalejdoskop" — rozrywkowa audycja muzyczna; 21.00 Koncert muzyki polskiej.

Sobota, dnia 16 października 1937 r.

6.15 Audycja poranna; 11.15 Audycja dla szkół; 12.03 Audycja południowa; 15.45 Teatr Wyobraźni dla dzieci: słuchowisko p.t. „W pustyni i w puszczy"; 16.15 Koncert orkiestry mandolinistów „Halka" z Rodzienia-Szopienic; 17.00 „Niemodne sylwetki krakowskiej" — felieton; 17.15 „Od Aten do Bayreuth" — migawki z dziejów opery; 18.15 Idylle (płyty); 18.35 Felieton prawno-społeczny; 19.00 Audycja dla Polaków zagranicą; 20.00 Tańce i pieśni Adama Wrońskiego; 21.00 Koncert z udziałem Kiepury — transmisja z Paryża.

HUMOR

CIĘTA ODPRAWA

Młodzieniec uśmiechnięty — wchodzi do tramwaju i woła wesoło:

— Jakto? To już cała arka jest pełna?

— Brak tylko osła — odpowiada konduktor.

— Proszę, niech pan wejdzie.

W ATELIER DENTYSTYCZNYM

— Jakie zęby pojawiają się najpierw u człowieka?

— Mleczne.

— A jakie najpóźniej?

— Fałszywe.

NIEBEZPIECZNA ZASADA

— Żałuję bardzo, panie sędzio, że wziąłem pieniądze, ale pan wie, jak to jest: czym więcej człowiek ma, tym więcej chce mieć jeszcze.

— Dajemy panu osiem miesięcy, ile jeszcze chce pan dostać?

PO ŚLUBIE

Przyjaciółka I.: — Powiedz mi, moja droga, jak wyglądałam podczas ślubu? Czy bardzo zdenerwowana?

Przyjaciółka II.: — Z początku ogromnie, ale uspokoiłaś się zaraz, gdy twój mąż powiedział „tak".

JEGO FACH

— Ubóstwiam panią za jej zęby, jak perły, usta, jak rubiny, oczy jak szmaragdy, włosy, jak lśniące złoto!

— Czy pan jest poetą?

— Nie, jubilerem.

PRZEKONYWUJĄCE

— Moja pani, czy to pedagogicznie tak katować biedne dziecko? Jaki w tym cel?

— Cel? Żeby mnie ulżyło!

NA NAUCE

— Podobno syn pana Samuela ma się kształcić w zawodzie handlowym?

— A tak, oddam go na na praktykę do firmy Geldhaber et Co.

— Niech pan Samuel tego nie robi, firma ta lada dzień robi plajte.

— Nu, co to szkodzi, niech on się właśnie tego nauczy!

OBAWA

— Za chwilę wjedziemy do tunelu. Czy pani się nie boi?

— Niech pan tylko wyjmie z ust papierosa, to się nie będę bała...

W SZKOLE

— Proszę tatusia nauczyciel powiedział mi dzisiaj w szkole, że jestem wałkoniem i najostatniejszym idiotą.

— To nic nie szkodzi. Mnie mówiono w szkole to samo, a patrz, jestem już szefem dwóch departamentów i niezadługo zostanę ministrem.

NOGI

Do reżysera Cecil de Mille'a zgłosiła się kandydatka na gwiazdę, której filmowiec rozkazał:

— Proszę pokazać nóżki!

Nieśmiała panienka uniosła zlekka sukienkę.

— Owszem, owszem, — pochwalił reżyser. — Proszę drugą!

— Drugą? Poco? Wygląda zupełnie tak samo.

— Tak samo? To świetnie! Angażuję panią! Zagra pani rolę tytułową w filmie „Kobieta o dwóch lewych nogach"...

WYSTARCZY

Autor „Cyganerii", Murger, zakochał się w aktorce i wyznał jej od razu swą miłość.

— Coprawda, — dodał z goryczą — Nie wolno mi liczyć na wzajemność pani.

— Dla czego?

— Z trzech powodów: po pierwsze, jestem biedny...

— Dziękuję — przerwała artystka — następnych dwóch powodów wcale nie jestem ciekawa.

SPRYCIARZ

Ludwik 15-ty, zwiedzając prowincjonalny klasztor, wysłuchał śpiewu braciszka zakonu, obdarzonego istotnie pięknym głosem. Czarujący śpiew młodzieńca podobał się królowi, to też wręczył śpiewakowi złotą monetę, ze słowami:

— Brawo, brawo, bis!

Braciszek odśpiewał powtórnie pieśń, a gdy król powstał, aby odejść, zakonnik wyciągnął dłoń do monarchy, mówiąc:

— Sire, bis.

KOLEJKA

Niedziela. Na stacji kolejki czeka grupa wycieczkowiczów. W pewnej chwili zajechała z hałasem mała lokomotywa, wlokąc za sobą kilka roztrzęsionych wagoników.

Zaledwie ujechano kilkanaście metrów, pociąg stanął na miejscu.

Tał konduktora jeden z podróżnych.

— Dlaczego nie jedziemy dalej? — zapytał.

— To trzech tych smarkaczy — odpowiedział konduktor i wskazując ręką kilku wyrostków, stojących na wiadukcie mostu, dodał:

— Napluli łobuzy do komina i zagasili cały ogień!

ROZRZUTNA KLIENTELA

Właściciel jadłodajni wzdycha żałośnie i mówi do siebie:

— Co to za rozrzutni goście, psiakość. — Nie chodzi już o to, że używają po dwie wykałaczki, mniejsza już nawet z tym, że je rzucają na podłogę, ale po co je łamią?

PRZEDPŁATA już z odnoszeniem przez pocztę miesięcznie 1 złoty, kwartalnie 3,00 złote. Pod opaską i za granicą miesięcznie zł 1,50, kwartalnie zł 4,50, Nr. pojedyńczy 30 gr. W razie wypadków, spowodowanych siłą wyższą, przeszkód w zakładzie, strajku itp., wydawnictwo nie odpowiada za dostarczenie pisma, a prenumeratorzy nie mają prawa do odszkodowania

REDAKCJA I ADMINISTRACJA
Żnin (Wlkp.), ulica Śniadeckich 8
P. K. O. Nr. 207.393. — Telefon 32
Rękopisów niezamów. nie zwraca się.
Wystarczy adresować
„MOJE POWIEŚCI" — ŻNIN

CENY OGŁOSZEŃ: 1/1 strona 450.— złotych. 1/2 strony 225,— złotych i t. d. Wiersz milimetrowy szerokości 32 mm 25 groszy. Drobne ogłoszenia: za każdy wyraz 10 groszy, dla poszukujących pracy 50 procent zniżki. Za zastrzeżenie miejsca dolicza się 50 procent. Ogłoszenia przyjmuje się najpóźniej 12-cie dni przed datą numeru.

UWAGI OGÓLNE: Administracja nie przyjmuje odpowiedzialności za termin ogłoszenia oraz za zgubę lub zniszczenie matryc i klisz. Zastrzeżenie miejsca obowiązuje Administrację tylko wówczas, gdy za takie zastrzeżenie zostanie zapłacona przewidziana w cenniku 50 proc. nadwyżka. — Omyłki, które zasadniczo nie zmieniają treści ogłoszenia, nie upoważniają do żądania zwrotu gotówki, ani też nie zobowiązują Administracji do bezpłatnego powtórzenia ogłoszenia. — Uzasadnione reklamacje będą uwzględniane o ile zostaną wniesione do dni 8-miu od daty ukazania się ogłoszenia, lub od daty otrzymania rachunku. Podwyżka cen ogłoszeń może nastąpić w każdym czasie i obowiązywać będzie również te ogłoszenia, które zostały zamówione poprzednio, a nie były z góry zapłacone. — Wydawnictwo zastrzega sobie prawo nie umieszczania całego ogłoszenia, wzgl. jego części bez podania powodów. Komunikatów bezpłatnych nie umieszcza się. — Zniżek nie udziela się. — ROZMIAR STRONY DRUKU: Wysokość 300 mm, szerokość 212 mm. — Podstawą obliczenia jest 1 milimetr, w jednym łamie. — Strona w tekście ma 3 łamy podwójne à 68 mm. Strona za tekstem ma 6 łamów à 34 mm.

Redaktor naczelny i wydawca: Alfred Ksycki. — Redaktor odpowiedz.: Mirania Galińska — Zakłady Wydawnicze Alfred Ksycki w Żninie